Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

„LISTY DO PRZYJACIÓŁ" ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO

WIADOMOŚCI LITERACKIE

TYGODNIK

Cena 60 groszy

Nr. 16 (68) Warszawa, Niedziela 19 kwietnia 1925 r. Rok II

NAJTANSZA KSIĄŻKA
W PRENUMERACIE 10 GR W PRENUMERACIE
BIBLJOTEKA DOMU POLSKIEGO
WARSZAWA NOWOWIEJSKA 27 KONTO P.K.O. 9779

Wielki poeta francuski o poezji, współczesnym kryzysie duchowym i niezrozumialstwie

Rozmowa z Pawłem Valéry

Wywiad własny „Wiadomości Literackich"

Dość zabawna jest w Polsce konieczność „odkrywania" co pewien czas poetów i wprowadzania ich z trudem, gwałtem nieraz, do grona autorów czytywanych, lub chociażby znanych z nazwiska. Dobrze już, jeżeli takie odkrycie nie dotyczy Polaka, jeżeli nie czeka się pół wieku, aż oplwany genjusz znajdzie swego Miriama. Gdy chodzi o poetów zagranicznych, zazwyczaj zaaklimatyzowanie ich na gruncie naszym zależne jest od wysiłku jednostki. Takiego pośrednika nie znalazł jeszcze Paweł Valéry. A zasłużył na niego, mimo, iż opublikował dotąd dopiero cztery dzieła: tom kilkunastu wierszy i poematów, dwa dialogi na modłę platońską i zbiór rozpraw p. t. „Variété".

Rówieśnik i przyjaciel Andrzeja Gide'a, od paru lat zaczyna we Francji doganiać go pod względem rozgłosu i poczytności. Poczytność ta jednak jest dość problematyczna, gdyż poza ostatnim tomem prozy, książki Valéry'ego wyczerpane są od długiego czasu, a rzadkie egzemplarze krążą po antykwarniach przy kursie nader wygórowanym; teraz dopiero ukazało się drugie wydanie dialogów.

O poczytności zresztą w znaczeniu endemicznem mowy tu być nie może. Jest to pisarz dla niebylekogo, a może nawet doczekałby się w Polsce epitetu „niezrozumialca". Pisano o nim w „Przeglądzie Warszawskim", a Staff fragmentem jego poematu zakończył znakomitą [illegible] francuskich.

Więc zanim opowiem o rozmowach z Valérym, winienem czytelnikowi parę słów o tym nieznanym poecie, choć sprowadzić je będzie trzeba do minimum wierszy.

Jest to poezja od Stefana Mallarmé, która Baudelaire'a ominęła w tak dalekiej obojętności, że Valéry zdobył się nawet na zarzut, iż Baudelaire imituje Poego. (Na co krytyk Burger przypomniał list Baudelaire'a z r. 1860 z temi słowami samoobrony: „Czy wiecie, dlaczegom tak cierpliwie tłumaczył Poego? P o n i e w a ż b y ł p o d o b n y d o m n i e! Gdym po raz pierwszy otwarł jego książkę, ujrzałem z przerażeniem i zachwytem nie tylko rzeczy przez siebie wyśnione, ale i z d a n i a przemyślane przeze mnie, a przez niego napisane, na dwadzieścia lat wcześniej"). Otóż Baudelaire'owi Valéry jest daleki. Dość otworzyć niewielki zbiór wierszy p. t. „Charmes ou poèmes" (wyczerpany) i przeczytać wiersz „Les pas", niezmiernie charakteryzujący autora:

Tes pas, enfants de mon silence,
Saintement, lentement placés,
Vers le lit de ma vigilance
Procèdent, muets et glacés.

Personne pure, ombre divine,
Qu'ils sont doux, tes pas retenus!
Dieux!... tous les dons que je devine
Viennent à moi sur ces pieds nus!

Si de tes lèvres avancées,
Tu prépares, pour l'apaiser,
A l'habitant de mes pensées
La nourriture d'un baiser,

Ne hâte pas cet acte tendre,
Douceur d'être et de n'être pas,
Car j'ai vécu de vous attendre
Et mon coeur n'était que vos pas.

Trzeba ten wiersz przeczytać kilka razy, zanim pochwyci się całą subtelność myśli i metafor. Spróbowałem przełożyć go z rękopisu, który otrzymałem od autora, w następującej formie (tytuł „Kroki"):

Twe kroki, jak mego milczenia
dzieci, stawiane przeczysto i wolno,
na mego łoża czujne drżenia
suną zmrożone przez głusz dookolną.

Ty boski cieniu, czysta zjawo,
o jakżeż słodki ten krok tchnący mgławo!
Bogi!... przeczutych wszech szczęść losy
idą tu do mnie na tej stopie bosej!

Jeśli twe wargi nachylone
temu, co skryty w moich myśli cieniu,
to uciszenie utajone
niosą w całunku żywnem ukojeniu,

nie śpiesz do słodkich spełnień celu,
ty słodycz bytu i niebytu mrok,
bom żył czekaniem godzin wielu,
a serce me — to tylko twój był krok.

Duchowy jego poprzednik, Mallarmé, powiedział: „Les choses existent: nous n'avons pas à les créer". I Valéry naprawdę, „tworząc", czyni to w pełni przekonania, że tylko ubiera w szatę słów to, co jest, co stoi wszędzie i wyraźnie. Niewielkie ma zaufanie do natchnienia. „Uważam to za rzecz niegodną, pisać samym tylko entuzjazmem. Entuzjazm nie jest jedynym ze stanów duszy pisarza".

Do przekonań poety na temat poezji i sztuki powrócimy, gdy będzie mowa o jego prozie i gdy on sam przemówi w swym salonie. O tem samem mówią nam jego poezje w inny nieco sposób. Więc jeszcze jeden typowy wiersz przytoczmy, sonet p. t. „Granaty", skupiający w sobie charakterystyczne cechy poezji Valéry'ego, tłumaczony przeze mnie:

Twarde granaty wpół otwarte,
Ustępujące ziaren sile,
Jak czoła, co odkryły tyle,
Że pękły, odkryć potęgą rozdarte!

Jeśli słońca, któreście zniosły,
O wy z powłoką rozchyloną,
Dały wam pychę tę szaloną,
Żeście przegrodę z rubinu rozniosły,

Jeśli skorupy suche złoto
Za wolą siły jakiejś oto
Pęka w soczystej jądr czerwieni,

To u rozdarcia miąższu cieczy
Obraz się we mnie duszy mieni,
Co duszą tajną jest wszech rzeczy.

Proszę „ciemny" ten wiersz „odczytać", jak mówi Norwid, „i skończyć w sobie" — a wystarczy on na ujawnienie nerwowo czułej obserwacji, klasycznego prawie patosu, no... i poezji — to znaczy trzech wybitnych znamion tego pióra. A pozatem: zuchwałej, zwartej siły obrazowania i—tu już trzeba sięgnąć po oryginały — rzadko napotykanego zmysłu treści dźwiękowej słowa.

Te same elementy, rozprowadzone na terenie większych poematów, zachwycają i porywają w potężnych utworach „Le cimetière marin", „L'ébauche d'un serpent", „Au platane". Dorywcza charakterystyka nic tu nie pomoże — trzeba to c z y t a ć (dla zainteresowanych: nowe wydanie poezyj Valéry'ego, oczekiwane od dwu prawie lat, jest w druku i ma się ukazać lada tydzień).

Druga forma, w jakiej wypowiada się poeta, to przepiękna proza dialogu, nieustępującego dialogom Diderota i Gourmonta, na platońskiej tradycji zbudowanego świadomie, z dojrzałością i powagą przeżycia. Dialog „L'âme et la danse" („Dusza i taniec"), toczący się między Fajdrosem, Sokratesem i Eryksymachem — wykazuje, jak wielką rolę przypisuje i przyznaje Valéry w twórczości rozumowi, który nie pozwala nigdy, aby go choć na chwilę od stałego gruntu oderwały: wyobraźnia, która musi być w ryzach, polot, trzymany w twardej uździe, natchnienie, które niech sobie będzie, ale niech się nie panoszy. Obserwacja tanecznic nastręcza trzem widzom myśli o sztuce gestu i rytmu, o człowieku i celach jego; przez szukanie „le pourquoi de la danse" roztrząsają kwestję onego „pourquoi" wszelkiej sztuki.

I Fajdros tak mówi:

„Życie czerni przy zetknięciu z prawdą, jak ów nieśmiały grzyb, czerniejący na powietrzu, gdy go przekrajemy. I wówczas rodzi się ciężar życia, ten ciężar absolutny, który sam w sobie nie jest niczem innem, jak najbardziej obnażonem życiem". Na ów ciężar jedyny środek: upojność, złożona u stóp naszego działania. „Sztuka jest właśnie tą upojnością, która najlepiej usuwa ciężar życia". „Niespokojni tem, że wiemy, zbyt szczęśliwi tem, że nie wiemy — szukamy w tem, co jest, lekarstwa na to, czego niema, — a w tem, czego niema, ulgi na to, co jest". Dialog „Dusza i taniec" drukowany będzie wkrótce na łamach „Tygodnika Wileńskiego".

I oto jesteśmy pośrodku nastroju i tematu wielkiego dialogu: „Eupalinos czyli Architekt". Określić tę książkę możnaby krótko a trafnie zawartem w niej pytaniem i znalezioną odpowiedzią: „Skąd pochodzi ów zmysł wieczności, spotykany niekiedy u ludzi żyjących? — Z czegoś, co człowiekowi przystoi, a co go bez wysiłku stawia ponad jego naturą: z twórczości artystycznej, która szuka trwałości".

Gdy mowa jest, jak sam już tytuł wskazuje, o architekturze, to nie w celu wywyższania jej ponad inne sztuki, ale w celu apoteozy zmysłu kompozycyjnego i architekturalności każdego dzieła sztuki (czy może w tem ważkiem poczuciu odpowiedzialności znajdziemy przyczynę, dla której Valéry nie stworzył dotąd dzieła wielkiego także rozmiarami?). „Niema żadnych szczegółów w wykonaniu". Eupalinos rozróżnia gmachy nieme, mówiące, i te najrzadsze: śpiewające. Czyż w poezji nie jest to samo — w tej sztuce, której celem wypowiedzenie rzeczy niewypowiedzialnych?

PAWEŁ VALÉRY
fot. Manuel

Dawniej określano sztukę tak: h o m o a d d i t u s n a t u r a e, a dzisiaj: h o m o, h o m o, h o m o. „Używać środków zmysłowych, któreby nie były podobieństwami rzeczy zmysłowych, ani powtórzeniami istnień znanych", oto jeszcze jedno określenie poezji Valéry'ego, wypowiedziane w „Eupalinosie".

W „Variété" wreszcie, najnowszym tomie rozpraw i artykułów, interesuje nas przedewszystkiem traktat czołowy „La crise de l'esprit": coś w rodzaju rachunku europejskiego sumienia po wojnie. Mówi o chaosie umysłowym, zrodzonym w czasach wojennych. „Przypomnieli się człowiekowi jego wielcy ludzie, jego wielkie książki — wszystko w bezładzie. Nigdy tyle i tak namiętnie nie czytano: spytajcie księgarzy. Nigdy tyle nie modlono się: spytajcie księży. I w temże samem pomieszaniu Europa ożywiła wszystkie swoje niezliczone myśli: dogmaty, filozofje, ideały, trzysta sposobów wytłumaczenia świata, tysiąc i jeden odcień chrystjanizmu, dwa tuziny pozytywizmów — to wszystko dziwnie sprzecznem światłem oświetlało agonję duszy europejskiej. — Przesilenie wojskowe może jest ukończone; przesilenie gospodarcze widoczne jest w całej swej sile; ale przesilenie intelektualne nielatwo pozwala uchwycić swą istotę i swoje stadjum. — Okręt kołysał się tak silnie, że nawet najlepiej zawieszone latarnie musiały wreszcie runąć. — I oto Hamlet europejski waha się między dwiema przepaściami, ponieważ dwa niebezpieczeństwa nie przestają zagrażać światu: ład i bezład... Pokój jest może tym stanem rzeczy, w którym wrodzona wzajemna wrogość ludzi objawia się w czynach twórczych, zamiast w czynach niszczycielskich, co dzieje się w czasie wojny".

A konkluzje? Konkluzji Valéry nie daje. Nie odważa się na żadną. Czy boi się popaść w dogmatyczność? Konkluzji nam brak. Ale sam ów surowy, twardy a oślepiająco jasny gest, z jakim sięga do jądra choroby, uświadamia czytelnikowi bardzo wiele.

Inne rozprawy i odczyty tego tomu tyczą się La Fontaine'a, istoty poezji (artykuł p. t. „Avant-propos", gdzie ujęty jest w precyzyjnym skrócie tok ideowy „Eupalinosa") i wreszcie „Wprowadzenie w metodę Lionarda da Vinci" — wspaniałego traktatu o sztuce, o inteligencji, która dotarła „do najwyższego ubóstwa potężności bezprzedmiotowej".

*

Kiedym znalazł się niedaleko Avenue Kléber w eleganckim salonie Pawła Valéry, wśród rysunków Degasa i portretów gospodarza i zacząłem rozmowę z wytwornym 53-letnim siwiejącym panem o żywej grze myśli na głębokiej twarzy— nasamprzód wyraziłem żal, że przychodzę do poety, którego prawie nie znam:

— Bo przecież pan jest w dosłownem znaczeniu poetą „nieczytelnym"...

Valéry śmieje się:

— Tak! Jak pan wie, oprócz ostatniego tomu, wszystkie moje książki są wyczerpane. A ich autor też.

— Pocóż tak dręczyć publiczność?

— Nie trzeba tak bardzo wszystkiego odrazu dawać. Ale zresztą mam w korekcie nowe wydania, poprawione.

I takie egzemplarze z korekty, kreślone i uzupełniane ręką poety, otrzymuję od niego. Zmartwiony jest, że nie może przeczytać moich tłumaczeń jego wierszy, które mu na kartce przyniosłem. Ale pokazuje duży tom oprawny w skórę i wręcza mi go z obiecującą miną. Książka zapełniona przepisanemi ręcznie wierszami. Na pierwszej stronie dedykacja taka mniej więcej:

„Á Paul Valéry
cette somme d'obéissance et de consentement...
Rainer Maria Rilke".

Poeta poecie uwielbianemu przesłał z Szwajcarji swój rękopis najważniejszych poematów Valéry'ego, które sam przełożył na język niemiecki. Valéry odczuwa całą subtelność takiego daru.

— Niestety, i tego czytać nie mogę, ani nawet nie mam możności poznania poezyj Rilkego, poza „Cahiers de Malte Laurids Brigge", które wyszły po francusku. Gdy pół roku temu byłem u niego w Szwajcarji, wywiozłem niezwykle głębokie wspomnienia z pobytu w tej jego samotnej, starożytnej wieży.

Rozmowa toczy się przez pewien czas dokoła tematu tak dla obu stron ciekawego, poczem przechodzi na sztukę i literaturę naszej doby. Mój gospodarz mówi płynnie, żywo, bardzo prędko, raz po raz wypuszczając z oka monokl. Często, dla braku czasu nie mogąc wyczerpać tematu, odsyła mnie do artykułów, szczególnie do wywiadu Lefèvre'a, daje mi wycinki lub w odpowiedzi czyta urywki. Potrącam o spostrzeżenia poczynione świeżo w Paryżu:

— Czy zauważył pan, jak po zdobyczach, utwierdzonych przez radykalne kierunki współczesne, których to zdobyczy nikt już dzisiaj nie kwestjonuje, znaczna ilość artystów z abstrakcyjnej wizyjności zaczyna wracać do przedmiotu, do objektu?

— O tak, — potwierdza Valéry, — potrzeba przedmiotowości toruje sobie wyraźnie drogę, w malarstwie zarówno jak w piśmiennictwie. Objaw ten wypływa zresztą ściśle z przełomu, w jakim znalazła się po wojnie psyche europejska. Poznano, że jednak sztuka bez kanwy przedmiotu obejść się niebardzo może. Abstrakcję uznaję, bo jest ciekawa, ale to jest „l'art du jour", to nie jest istotna sztuka współczesna. O zdobycie dzisiejszego „sujet" nie jest łatwo: dawniej kopalnią była mitologja, Biblja; dziś Biblji albo się znać nie chce, albo się jej nie rozumie. „Sujet" dzisiejsze jest nieciekawe, ludzie nie umieją go szukać. I drugie jeszcze spostrzeżenie znamienne. Zaczynamy wyzwalać się od wpływów rosyjskich.

—Czy pan wpływy te uważa za niepożądane?

— Za zgubne wprost. Wielkość Dostojewskiego, przetransponowana na umysłowość Europejczyka, szerzy spustoszenie. Skutki te w dostatecznej mierze obserwowaliśmy w literaturze szczególnie niemieckiej, a także i naszej. To samo było z Tołstojem. Do naszej psychiki absolutnie przylegać nie chce ten mglisty, oderwany mistycyzm rosyjski. Stoimy między dwoma światami: bizantyjsko-azjatyckim „désordre", i amerykańskim „ordre"; kultura europejska usiłuje ostać się po środku, a do niej należy i wasza, polska. Mistyka ma w Europie potężną tradycję; katolicyzm, ten system doskonale uporządkowany, stworzył tej mistyce mocne podstawy, dał jej organizację, chęć doskonałości i realizacji w przedmiocie. W Rosji mistyka jest wręcz przeciwna: bizantynizm jako antyteza ducha łacińskiego.

— Jakie zatem książki uważa pan dzisiaj za najważniejsze i najbardziej godne czytania?

Valéry uśmiecha się:

— To zależy od czytelnika. Trzeba pamiętać, że książki o znaczeniu „kapitalnem" istnieją tylko dla czytelników zdolnych książką wzruszyć się do dna, zdolnych do przemian pod wpływem książki. Takich jest dzisiaj bardzo mało. A ludzkość czyta gazety, co przecież oducza od czytania! Trzebaby w szkole nauczać lektury gazet. Nie, ja wcale nie żartuję. Analiza gazety byłaby bardzo pożytecznem ćwiczeniem. Bo dziś pisma codzienne stanowią o intelektualnem odżywianiu rodzaju ludzkiego. Większość ludzi umiejących czytać ma codziennie tylko godzinę czasu na lekturę, a ta godzina (w restauracji, w kolejce podziemnej) wypełniona jest gazetą. Wyobraźmy sobie, że w szkole uczy się rozbioru gazety, artykułu, wydzielając zeń czynniki, przedmioty, źródła i t. p. — i że się tę naukę uzupełnia porównaniami z prasą różnych narodów... Czy nie wierzy pan, że miałoby to wielkie skutki? —

Potem Valéry wyznaje, że dysputy literackie, tak zawsze gorące i powszechne (szczególnie w Paryżu), przyprawiają go o mdłości (mal de mer). Pozbawione są wdzięku i... rezultatów.

Wspominam o atakach, jakie jego poezję spotykały wśród wszystkich entuzjazmów; wspominam o książce p. Alfreda Droin, dowodzącej, że Valéry zaprzepaścił francuską tradycję poetycką. A on odpowiada:

— Nie denerwują mnie krytycy. Gdyby przeciwnicy mojej poezji przed uchwyceniem pióra zapytali mnie o radę, podałbym im znacznie więcej tematów do krytyki.

Opowiada następnie o indywidualnościach, których poznanie zaważyło na jego twórczości.

— Spotkanie moje z Piotrem Louys w r. 1889 (miałem wówczas lat 18) było zdarzeniem decydującem. Studjowałem prawo. W trzy lata później znalazłem się w Paryżu, już po zrezygnowaniu z pisania wierszy. Poznałem Stefana Mallarmé i nauczyłem się podziwiać go nieskończenie. Louys zapoznał mnie z nim. Byłem uderzony słodyczą tego człowieka i jego domu. Nikt tak nie umiał mówić jak on. Słowo jego rozgrywało się bardzo wysoko ponad tajemną myślą, wypracowywaną głęboko. Widywałem dość często Józefa Marję Hérédia. Okazywał mi szczerą życzliwość. Spędziłem długie lata w bardzo różnolitych refleksjach, nie myśląc nigdy o tem, aby karjera literacka mogła odpowiadać mojej naturze... Wszystko, co odtąd napisałem, było napisane albo na skutek czyichś życzeń, albo wprost zamówień. „Eupalinos" zamówiony był przez czasopismo „Architectures", którego redakcja oznaczyła nawet konieczną ilość l i t e r dla mej rozprawy: 115.800!

— A wiersze?

— Około r. 1913 księgarnia „Nouvelle Revue Française" prosiła mnie o pozwolenie wydania dawnych moich poezyj. Gdy oponowałem, zebrano je z różnych czasopism i przedstawiono mi w odpisach maszynowych. Nie podobały mi się, więc zacząłem zabawiać się przerabianiem z zupełną swobodą człowieka, który oddawna przywykł nie niepokoić się poezją. Nabrałem tak dalece przekonania, że napisałem ostatni wiersz, coś niby pożegnanie z temi igraszkami młodości. Tak powstał poemat „La jeune Parque", który rozmiarami przerósł dziesięciokrotnie moje zamierzenia, a czyta się, jak każdy wie, sto razy trudniej niżby wypadało...

Tu wspominam o polemice na temat niezrozumialstwa, jaka wywiązała się na łamach „Wiadomości Literackich".

— Skoro mówimy o ciemności, pozwoli pan, że powtórzę to, co już mówiłem dla pism francuskich. Nie będę jej bronił, ale (co jest stokroć ciekawsze od atakowania czy bronienia) spróbuję określić jej przyczyny. Nie można rzec, żebym ich nie znał!

Uśmiecham się do siebie, poprawiam w fotelu i przyzywam ducha Irzykowskiego. A Paul Valéry zakłada monokl:

— Ciemność („l'obscurité"), mojem zdaniem, jeżeli nie jest umyślna, wypływa z trzech źródeł. Pierwsze polega na samej t r u d n o ś c i t e m a t ó w („des sujets") nasuwających się pisarzowi. W tym wypadku zdarza się, że im precyzyjniej on sam widzi, tem oporniejszy („plus dur") czyni się w czytaniu. Weź pan przedmiot najcodzienniejszy: krzesło, klucz... Przypuśćmy, że nazwa tego przedmiotu zagubiła się i że trzeba go opisać, oddać za pomocą innych wyrazów słownika. Im bardziej będę dokładny, tem trudniejsze zadanie dam czytelnikowi, tem więcej będę musiał od niego wymagać. Otóż przedmioty myśli lub stany duszy — są to rzeczy źle, niedokładnie nazwane. Nie można ich określić bez skupienia ustosunkowań i zestawień.

Druga przyczyna niezrozumiałości autora, pierwszorzędna może, polega na ilości warunków, jakie sobie nakłada autor. Jeżeli chce on osiągnąć harmonję, ciągłość efektów plastycznych, wypełnić samą myśl, nie zatracić wdzięku i giętkości składni — i jeśli chce, aby to wszystko zawierało się w armaturze prozodji klasycznej — wówczas musi niekiedy przeładować swój styl, w zbytniem skondensowaniu oddać treść i używać skrótów i opisów, mylących czytelnika. Nie zapominajmy, że ciemność tekstu jest produktem dwóch czynników: czytanej rzeczy i czytającej istoty! Bardzo rzadko zdarza się, aby ta istota winę przypisywała sobie samej!

A trzecia przyczyna trudności dzieła jest efektem złożonym z dwu przyczyn pierwszych. Polega bowiem na streszczeniu w jednym utworze poetyckim przeżyć zbyt rozległych. W wierszu „La jeune Parque" spróbowałem według najlepszych sił i za cenę nieprawdopodobnej pracy oddać taką modulację życia. Ale nasz język psychologiczny jest tak bardzo ubogi. Musiałem go jeszcze zubożyć, bo większość jego wyrazów nie licuje z tonem poetyckim. Wydaje mi się jednak, iż to nie szkodzi, że się stworzy ciemny poemat, aby rozjaśnić ideę!

Szkoda, że z długich rozmów pozostają w pamięci tylko główne kontury, które potem rekonstruować trzeba z wysiłkiem.

Kilka tych rozmów z Valérym pozostawiło wspomnienie jasnej głowy i nerwowej, bardzo czule przyjmującej i ustawicznie przetwarzającej duszy.

Witold Hulewicz.

Conrad i Anglja

Ciekawa książka Forda Madoxa Forda

„Wiadomości Literackie" poinformowały (nr. 53) o ukazaniu się książki krytyka angielskiego Forda Madoxa Forda (Hueffera), poświęconej pamięci Conrada. Książka ta pod wielu względami bardzo ciekawa, głównie w szczegółach dotyczących pracy pisarskiej Conrada, wywołała w Anglji odruch niesmaku i oburzenia wśród prawdziwych wielbicieli i przyjaciół zmarłego. Cała bowiem opowieść Forda sprawia wrażenie raczej autobiografji p. Forda na tle jego znajomości z Conradem, aniżeli „Wspomnień" o Conradzie, jak zatytułował on książkę.

FORD MADOX FORD
rysunek Ryana Walkera

Wystarczy taki ustęp z pod pióra p. Forda, aby ocenić, jak traktował on swoją pracę:

„Conrad przyznał,—powiada p. Ford, — że zanim zaproponował mi współpracę, naradzał się z kilku literatami, czy jest ona wskazana. Mówił, że musiał przedstawiać im trudności, jakie nastręcza mu język angielski i powolność pisania, i musiał dowodzić, jak stopniowo zwiększy się łatwość wysłowienia się w miarę dokładnego badania wyrazów przy pomocy uznanego znawcy angielszczyzny. Zwięźle i ostrożnie stwierdził, że mówił Henleyowi — Henley ogłosił drukiem „Murzyna" w swoim miesięczniku: — „Widzi pan, piszę z takim trudem. Moje najgłębsze myśli, mniej nadające się do automatycznego wyrażania się, są polskie. Kiedy wyrażam się ostrożnie, czynię to po francusku. Kiedy piszę, myślę po francusku i przekładam na angielski słowa moich myśli". A Henley, jak opowiadał Conrad, odrzekł: „Dlaczego pan nie poprosi Hueffera o współpracę. On jest najlepszym współczesnym stylistą angielskim"...

W dalszym ciągu p. Ford, zdolny zresztą krytyk, stara się dowieść, jak wiele zawdzięcza Conrad temu, że los zetknął go z „najlepszym stylistą angielskim". Ford daje do zrozumienia, że nie tylko poprawiał on język Conrada i pracował razem z nim nad kilku powieściami, ale i dawał wielkiemu pisarzowi natchnienie i tematy do prac powstałych bez jego współudziału. Przytacza on swoje rozmowy z Conradem, które pozostawiają wrażenie, jakoby Conrad poddawał się wpływowi Forda, jakoby ustępował mu w bystrości umysłu i nawet intuicji literackiej. Słowem, „osobiste wspomnienie" przyjaciela było dla pamięci zmarłego raczej ubliżające i wywołać musiało zrozumiałe protesty. Najostrzejszy i najbardziej szczery pochodzi od wdowy po ś. p. Conradzie, p. Jessie Conrad, która ogłosiła pełen oburzenia list w „Times Literary Supplement".

W liście pani Conrad czytamy:

„Jeżeli p. Hueffer uważa swoje wspomnienia za hołd złożony pamięci zmarłego przyjaciela, dlaczegóż stara się na każdej stronicy dowieść, że między nim a jego przyjacielem zawsze istniała różnica, i to ze szkodą dla przyjaciela, ustępującego mu pod względem charakteru, intelektu i zdolności?... Najbardziej kategorycznie zaprzeczam temu, jakoby Joseph Conrad kiedykolwiek zapożyczał tematu dla swoich powieści z opowiadań p. Hueffera. W ciągu tych dziesięciu lat, — 1898 — 1909, — kiedy Joseph Conrad utrzymywał bliższe stosunki z p. Hueflerem, p. Hueffer nie spędził pod naszym dachem nigdy więcej nad trzy tygodnie. Po 1909 r. spotkania były bardzo rzadkie i nigdy z inicjatywy mego męża. Autor „Osobistych wspomnień" mieni się doradcą literackim Josepha Conrada i jego literackim ojcem chrzestnym! Te pretensje, jak wiele innych rzeczy w tej wstrętnej (detestable) książce, są całkowicie niesłuszne. Słyszałam niejednokrotnie z ust mego męża, że znalazł on w p. Hueffer podnietę myślową, ale działo się to bardzo dawno, wtedy, kiedy Ford Madox Hueffer nie zdawał sobie jeszcze nawet sprawy z tego zaszczytu, który sobie przypisuje: że jest największym stylistą angielskim"...

Odpowiedź dość jasna chyba i tem cenniejsza, że pochodzi od najbliższej Conradowi istoty.

Zresztą w pewnem miejscu sam p. Ford przyznaje się do tego, że nie wszyscy jednakowo oceniali wartość jego pomocy dla Conrada. Ford pisze o uwielbieniu, jakie żywił dla Conrada Wells, który umieścił we wpływowym „Saturday Review" entuzjastyczny artykuł o „Fantazji Almayera", i podaje następującą rozmowę:

„Wells przekonywał mnie, abym zaniechał współpracy z Conradem. Z niezwykłem przejęciem prosił, abym nie psuł stylu Conrada, „tego cudownego wschodniego stylu, który jest tak subtelny, jak mechanizm zegarkowy, i który pan tylko zepsuje, wkładając swe palce do środka".

*

Taki charakter książki p. Forda nie zmniejsza jednak wartości niektórych jego spostrzeżeń. Oto bardzo ciekawy ustęp, przeczący poglądom krytyki francuskiej na „słowiańskość" Conrada.

„Nie można się było oprzeć wrażeniu, że on (Conrad) był przeświadczony, iż najmniej był Słowianinem. Ponieważ Słowianin, aby był prawdziwym Słowianinem, powinien być tak bezsilny wobec kolei losów świata, jak nowonarodzone kocię, jak szarawy rozpełzający się przedmiot, przeważnie galaretowaty. Coś w rodzaju Dostojewskiego!

„Gdyby zapytać Conrada, jak podejść bankiera, znalazłby środek na to. Gdyby spytać, czy kobiety powinny mieć prawo głosowania, powiedziałby stanowczo: nie. I potem powiedziałby, przypominając rolę, którą odgrywały kobiety w krzewieniu ducha narodowego w jego kraju, Polsce, kiedy wszyscy mężczyźni pogrążeni byli w pijaństwie, rozpuście i nieróbstwie po nieudałej rewolucji 63 r. — że jedynemi kobietami, które mają prawo do korzystania z przywileju głosowania, rzeczy zresztą nieużytecznej, są: jego matka i ciotka, p. Paradowska...

„Conrad czytał zadziwiająco dużo i pamięć miał niezwykłą. Ale nigdy nie sprawiał wrażenia książkowego muła, ani nawet człowieka „czytającego". Mógł uchodzić za kogokolwiek innego; można było przypisać mu pięćdziesiąt różnych zajęć, od kapitana okrętowego do — powiedzmy — finansisty, ale określenia poety albo uczonego nie byłoby między niemi. Często brano go za hodowcę koni rasowych. Podobało mu się to.

„Ambicją jego było uchodzić za angielskiego obywatela ziemskiego czasów lorda Palmerstona. Aby zrozumieć, jakim sposobem Polak, urodzony w gubernji Kijowskiej, bezgranicznie daleki od morza, chciał zostać ziemianinem angielskim, trzeba wziąć pod uwagę kilka rzeczy. Jako dziecko Conrad mieszkał w wielkim domu w Polsce, w wielkim domu z szerokiemi sieniami i wielu światłami w nocy. Pewnej nocy atoli światła pogasły, a drogi w ogrodzie opustoszały. Sanie bez dzwonków zajechały przed ganek, ktoś, otulony i owinięty po czapkę, wszedł po schodach i zamknął się na długi czas z panem domu, poczem odjechał i znikł w śniegu. Conrad opowiadał, że wydawało mu się, iż słyszy dźwięk „de l'or de la perfide Albion", brzęczącego w wielkich workach, kiedy sanie oddalały się. Tajemniczy bowiem gość był wysłannikiem lorda Palmerstona, rozrzucającego złoto po całej Polsce dla podniecania ducha rewolucyjnego i spra-

JOSEPH CONRAD NA POKŁADZIE „TUSCANII"
z prawej — kapitan Bone, z lewej — brat kapitana, Muirhead Bone, znakomity artysta

wiania kłopotów Rosji podczas jej dobierania się do Pery czy Afganistanu.

Pierwsza wizja Conrada o Anglji była taka: wielka potęga, broniąca wolności i udzielająca gościnności uchodźcom, pilnująca „pax britannicae", pokoju brytyjskiego, który obejmował cały świat. Obok wszechmocnej marynarki miała wszechmogącą kiesę. Gotowa była do przeciwstawienia się Rosji pieniędzmi i marynarką wszędzie, gdzie tylko nadarzyło się.

„Pierwszą angielską piosnką, którą Conrad słyszał, była:

„Nie chcemy bić się, ale klnę się imieniem Jingo, jeżeli bijemy się,
To my mamy okręty, my mamy ludzi, my mamy pieniądze.
Zwalczaliśmy niedźwiedzia przedtem, będziemy go bili nadal,
Rosjanie nie będą panami Konstantynopola".

„Polak ostatniego stulecia — a Conrad ponad wszystko był Polakiem ostatniego stulecia — nie mógł przecież wymagać nic lepszego".

O nienawiści Conrada do Rosji opowiada p. Ford w innem jeszcze miejscu.

„Dziwnym zbiegiem okoliczności podczas ostatniej wojny zdarzyło mi się natrafić na sporą korespondencję Conrada z pokładu jakiegoś okrętu do rodaka. Listy były pisane przez Conrada, jako polityka, a nie jako marynarza. Była to właściwie jedna praca; każdy list zosobna był szkicem o polityce międzynarodowej, i co jest rzeczą godną uwagi, — listy te były dość nieciekawe. W jednym punkcie jednak były nawet namiętne: dowodziły mianowicie, że Wielka Brytanja powinna wstąpić do jakiejkolwiek grupy antyrosyjskiej. Powinna była iść razem z Niemcami, Austrją czy Francją dopóty tylko, dopóki któreś z tych państw walczyłoby z Rosją... Jeden z krewnych Conrada pokazywał mi listy do „L'Indépendant Belge". Były one świetnie napisane, ogromnie wzruszające".

O pracy literackiej Conrada p. Ford mówi, naturalnie, najwięcej. Przypomina jej początki, jak to po długiej służbie morskiej Conrad cierpiący na reumatyzm odbywał kurację w Londynie i w Genewie, i jak postanowił wziąć się do pisania:

„Conrad musiał zastanawiać się, czem wypełni resztę życia. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie musiał z powodu złego stanu zdrowia porzucić pracę marynarza. Pewnego dnia długo stał przed wystawą księgarską w Genewie, wypełnioną żółtemi książeczkami francuskiemi. Widok tych książek i wspomnienia o Maupassancie mogły przywieść go na myśl: „Na Jowisza! dlaczegóżby nie wziąć się do pisania?"

„Z chwilą kiedy postanowił pisać, miał jeszcze postanowić, w jakim języku pisać. W literaturze angielskiej było mało stylistów. Wśród Francuzów roiło się od nich. Nie wiem, kiedy postanowił pisać po angielsku. Opowiadał, że stało się to w przystani Rouen...

„Faktem jest, że Conrad zawsze lepiej znał francuski, aniżeli angielski. Dodaje to tylko świetności sławie jego osiągnięć w naszym języku. Francuskim władał on doskonale, zupełnie płynnie, w angielskim nie był płynny. Brano go zawsze za Francuza. Nie można go było wziąć za Anglika, ani z mowy, ani z wyglądu.

„Najdziwniejsze jest to, że chwyciwszy angielszczyznę za gardło, uczynił ją posłuszną sobie jak mało komu...

„Ale niechęć Conrada do angielszczyzny była bardzo wielka i jego pogarda dla przeciętności tego języka poprostu nieporównana. Podczas pisania powieści „Nostromo" kilkakrotnie wyrażał namiętny żal, że już było za późno na rozpoczęcie pisania po francusku. Pogarda Conrada dla angielskiego jako języka prozy nie była miarkowana uznaniem angielskiego jako języka poezji. Conrad nie znał, nie starał się poznać wiersza angielskiego. Był on przekonany, że nigdy nie będzie mistrzem tego języka. Twierdził, że język angielski jest językiem, w którym nie można napisać zwykłego twierdzenia. Jest to dość słuszne. Mówił, że wyrazić zwykłe twierdzenie w angielskim jest tak trudno, jak zabić komara dla człowieka, który nie umie władać biczem dziecinnym.

„Conrad miał ten żal do angielszczyzny, że żadne słowo nie jest słowem: wszystkie słowa angielskie są narzędziem do wywoływania niejasnych wrażeń. „Dębowy" po francusku oznacza przedmiot, zrobiony z dębu. „Dębowy" po angielsku posiada niezliczone znaczenia uboczne, jako atrybucje moralne: oznacza tępotę i stanowczość, uczciwość i jasne cechy, stosunkowo wielką niezłomność, absolutną nieugiętość — a poza tem wszystkiem również przedmiot zrobiony z dębu. Żadne słowo angielskie nie ma jasno zakreślonych granic; czytelnik zawsze na krótką chwilę pozostaje w niepewności co do znaczenia, jakie pisarz nadaje słowu. Wskutek tego proza angielska jest zaćmiona. A Conrad przecież chciał pisać prozą zupełnie przejrzystą".

jsz.

Poeta młodych Niemiec

Herman Löns

Dziesięć lat minęło od chwili, gdy w pierwszej swojej bitwie padł na polach Szampanji szeregowiec pospolitego ruszenia, Herman Löns. Poszedł w bój wbrew woli dowódcy kompanji, który go strzegł jak oka w głowie. Świadek jego śmierci, jeden z żołnierzy, tak określił swoje wrażenia: „Czarne płatki zaczęły mi latać przed oczami — z bólu i wściekłości. O Boże, ta nieszczęsna wojna! I zawsze najlepsi!"

Löns jest rzeczywiście jednym z najlepszych! Znany był już przed wojną, ale sławny stał się dopiero po śmierci. Ostatnia jego powieść przekroczyła nakład dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy! „Odkrył" Lönsa wydawca jenajski Eugenjusz Diederichs, który położył też wielkie zasługi jako popularyzator w Niemczech Reymonta, zwalczając z wrodzonym temperamentem nieprzychylne w swoim czasie głosy krytyki i obojętność publiczności.

Jest pewna analogja między dwoma pisarzami, polskim i niemieckim: podobnie jak każda stronica „Chłopów" przepojona jest zapachem rodzinnych łanów, brzmi w większości utworów Lönsa nuta ukochania i zrozumienia ziemi niemieckiej, wczucia się w naturę i miłości ludu niemieckiego, zespolenie się z pierwiastkiem germańskim, związanym organicznie z przyrodą. O zmarłym poecie wspomina jego przyjaciel i „lekarz duchowy" Traugott Pilf*) temi słowy: „...O szarej godzinie lubię Beethovena. Stawiam na pianinie bukiet wrzosu — ten największy i najbardziej pachnący — i gram sonatę d-dur, piętnastą. Tę sonatę nazywam „Herman Löns", gdyż jest tak bardzo doń podobna i ponieważ on był taki jak ona; sonata wszystko mi o nim mówi i śpiewa, śmieje się i płacze, śni i gniewa się, jest grubjańska i pełna czułości; opowiada mi o nim to wszystko, co chcę słyszeć i widzieć i odczuwać... Jestem z Hermanem Lönsem na wrzosowisku, na wsi, w lesie, w górach i wszędzie. Jestem wśród pięknej najczystszej i najświętszej natury, dotykam najlepszego i najbardziej rzeczywistego, co życie szukającej duszy dać może. Przez tego poetę mówi do mnie przyroda, mówią przezeń zwierzęta, szumią lasy i uśmiechają się źródła. A pośród tej natury przechadzają się ludzie, ludzie żywi i silni, o twardej wierności dla życia i gorzkiej prawdzie istnienia, o łagodnej słodyczy i sennej piękności, ludzie, którzy mogli powstać jedynie w myśli i w duszy prawdziwego poety... Herman Löns, poeta, zasługuje szczególnie na to, aby stał się przeżyciem. Tylko w ten sposób uzyska się właściwy stosunek do niego i do jego dzieł, przynajmniej zaś sentyment, przyjaźń, zamiłowanie i to uznanie, które mu się należy"...

Löns urodził się w r. 1866 w Chełmnie nad Wisłą z rodziców Westfalczyków. Pierwsze siedemnaście lat spędził w Koronowie, potem zaś udał się do Westfalji. Chociaż ojciec jego był nauczycielem gimnazjalnym, nie zajęły chłopca ani książki ani systematyczna praca szkolna. Malec brodził ciągle po polach i od dzieciństwa już okazywał niezwykłą wrażliwość na uroki przyrody. W Westfalji zabrał się do historji. Nadeszły lata studenckie. Löns zajął się medycyną i przyrodą, interesował się przytem literaturą. Był tęgim burszem: dobrze fechtował się i przekazał tę zdolność prawie wszystkim swym powieściowym bohaterom.

Trzeba było z kolei wybrać zawód; karjera lekarska nie uśmiechała mu się wcale; zawód zoologa nie dawał żadnych widoków. Wobec tego Löns „wskoczył obiema nogami do dziennikarstwa". Po rozmaitych podróżach, w kraju i zagranicą, osiadł jako „redaktor" w Hanowerze. Tu dzielił czas między gazetę i polowanie; w wolnych chwilach zajmował się folklorem; po wsiach zbierał pieśni ludowe i gwarzył z chłopami o dawnych czasach. Z Hanoweru przeniósł się do Bücheburgu, gdzie objął redakcję małego prowincjonalnego pisma. Wyjąwszy składanie i roznoszenie gazety, musiał robić wszystko w redakcji. Przy tej często bezmyślnej pracy powstała pierwsza jego powieść z życia chłopskiego: „Hansbura". Pisał Löns tę powieść pomiędzy artykułem wstępnym o reformie finansowej i opisem uroczystości dworskich; wskrzesił chłopa, znanego mu jedynie „z opowiadań bardzo starych ludzi i z przysłów i gadek na starych kubkach i talerzach, które mi darowano podczas moich wycieczek myśliwskich. Razem z tematem znalazłem, nie szukając, odpowiedni styl pisania". Tutaj pokazał się już artyzm twórczy pisarza, tak różny od artysty-rękodzielnika, rzucającego rok rocznie „swój tom" na półki księgarskie. Po tej powieści nastąpiły inne. W latach 1911 i 1912 podróżował Löns po Szwajcarji, Holandji i Niemczech. We wrześniu 1914 r. donosił swemu przyjacielowi: „Udało mi się dostać do 2 kompanji 73 pułku piechoty, mnie, który nigdy w wojsku nie służyłem! Cieszę się z całego serca. Oddawna już życzyłem sobie podobnego zajęcia, jedynego, oprócz rolnictwa, godnego mężczyzny". Wiemy już, że padł w pierwszej bitwie.

Dorobek literacki Lönsa, pokaźny ilościowo, bardziej cenny jest swą jakością. W szeregu tomików skupił poeta swoje wiersze, często perły liryczne, osnute na motywach ludowych, do których później liczni muzycy dorobili melodje. W „Złotej książce", która jest w każdym calu szczera i odczuta, zawarte są małe liryki; w „Niebieskiej książce" umieścił Löns poezje poważniejsze oraz ballady. „Dobrą balladą — pisał poeta w dedykacji na jednej z książek — jest osobiste przeżycie przedstawione w nieosobistej formie. W tej książce są też złe". W „Małym ogrodzie róż" zebrał Löns przeszło sto pieśni ludowych. I dla żołnierzy pisał poeta piosenki; podczas wojny znalazły te poezje drogę do okopów.

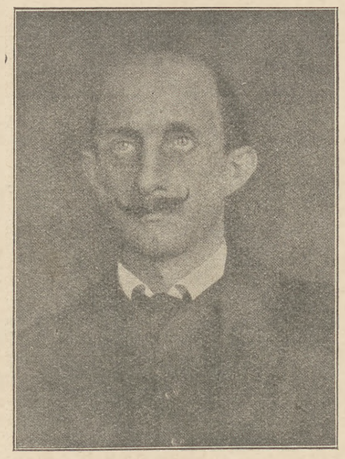

HERMAN LÖNS

Dużo pisał Löns o łowiectwie; niesłusznie jednak okrzyczano go jako „pisarza myśliwskiego". Szereg nowel zebrał autor w zbiorkach jak „Ziele i kula", „Na tropie" — osobne książki poświęcił opowiadaniom o zwierzętach, m. in. „Brunatną książkę".

Wreszcie zamykają twórczą pracę pisarza cztery powieści: pierwsza — o „Hansburze", druga (najsłabsza) — o polanie, z kolei: najpotężniejsza — o wilkołaku i ostatnia (najciekawsza): „Drugie oblicze".

„Wilkołak" („Der Wehrwolf") jest kroniką wojny trzydziestoletniej. Powieść ta jest jednak czemś więcej niż kroniką: staje się epopeą chłopską owej epoki, gdy przerażenie i męka szamotały się w duszy mas. Czytelnik musi mieć dobre nerwy, i nie wolno mu przejmować się potokami płynącej krwi. Löns maluje w sposób iście homerycki straszliwą i okrutną samoobronę chłopów i pełne wdzięku silne ale miłe postacie niewieście, które, jakby bez świadomości, przechodzą przez kałuże krwi.

„Wilkołak" jest powieścią męską, mocną, pobudką do walki, apoteozą nienawiści, połączonej z sentymentem. Można się rozmaicie zapatrywać na wartości moralne książki; walory artystyczne są niezaprzeczalne. Tutaj już jest Löns mistrzem, mistrzem treści i formy; jak Żeromski, daje on narodowi swojemu nowe słowa, zadziwia soczystym stylem, czerpie z krynicy ludowej i uprzystępnia dawną a nieznaną tradycję.

Ostatnią powieścią Lönsa jest „Drugie oblicze" („Das zweite Gesicht") — „opowieść miłosna", częściowa autobiografja.

„Poeta — pisze Pilf — patrzy na całe życie jak na poezję, a każdą ze swoich poezyj bierze za całe życie. Na tem polega jego szczęście i nieszczęście. Kto może to odczuć, jest jednako szczęśliwy i nieszczęśliwy. Löns był podobny do Liliencrona, który, w gruncie rzeczy, tworzył o sobie samym" („...sich selbst dichtete").

„Drugie oblicze" — to zdolność rozdwajania się jaźni, przyczem jedno „ja" widzi drugie „ja", — zdolność, którą częściowo posiadał sam Löns. Książka jest potężna ale nierówna; ma ustępy przepiękne i ostre zgrzyty; przeznaczona jest dla ludzi o wysokiej kulturze ducha.

„Drugie oblicze" wywarło olbrzymie wrażenie. Wspominałem już o ćwierćmiljonowym nakładzie. Bohaterem jest autor w osobie Hagenriedera, malarza-poety. Bohater niszczeje w konflikcie między żoną a ukochaną... „Swaantje". Rozpoczyna się powieść preludjum: „czarem" — czarownica torfowiska tańczy, piękna czarownica w ognistej sukni, żółtym fartuszku i z czarnemi wstążkami na złotym czepku. Potem dwanaście rozdziałów; przez wszystkie przesuwa się Helmold Hagenrieder z żoną Gretą i z „kochaną Swaantje w białej wełnianej sukni ze złotą obwódką pod szyją i naokoło rękawów, złote kwiaty w błękitnych oczach". Helmold kocha kobietę słoneczną i kobietę księżycową, jedną głośną i drugą cichą. Zdaje mu się, że ta cicha jest więcej warta, piękniejsza i istotniejsza. Tkwią w nim instynkty przodków. Księżyc odgaduje jego myśli, gdy mówi do niego:

„Drabie, czy wiesz, jakie powinno być twe życie: czerwona poezja na czerwonem tle, czerwone pocałunki na czerwonej krwi! Rozległa polana, ognisty rumak między lędźwiami, łuk na plecach, kołczan u boku, a w ręku miecz — — — A potem, gdy będą się gryźli o porąbane głowy, a ty już będziesz po kąpieli i przebrany — wiesz przecie — tam pod dębami — dwie piękne kobiety, które cię z daleka już witają i dają ci to, czego potrzeba; pocałunki głośne i ciche, gorące i chłodne, ile tylko chcesz... Hę, co myślisz o tem, drabie!"

Hagenrieder nie jest myślicielem; daje się całkowicie opanować uczuciom, fantazji, wyobrażeniom.

Niesamowity dar rozdwajania się jaźni męczy bohatera: w chwilach ciężkich przeżyć i decyzyj życiowych widzi Helmold „drugie oblicze" — żelaznego rycerza, drugie „ja", które obserwuje z zewnątrz i sądzi o postępkach pierwszego „ja". Pewnego dnia: „ujrzał siebie samego martwego i zimnego, leżącego pod świerkiem; przyszli trzej mężowie i pochowali go za wałem w Tödeloh. Co nocy wychodziła dusza jego z grobu i szła do szarego kamiennego domu, gdzie spotykała cienie innych mężów, które tysiące lat temu zapomniały swoich ciał. Dawni Sasi przechwalali się swemi walkami i zwycięstwami; gniewali się, że nikt o nich nie pamięta i nie przynosi im objaty z mięsa i miodu; śmieli się z niego, gdyż zawsze ich rozpytywał, czy nie oddano dla niego wieńca lub paru kwiatków.

Nigdy jednak najmniejszej nawet drobnostki nie znalazł i płacząc, zstępował znów do grobu.

Wieczorem zato wyśmiał ich wszystkich, gdyż nagle znalazło się dlań mnóstwo kwiatów.

Kwiaty te patrzały nań tak serdecznie, że dusza jego odnalazła ciało i śpiewając, wyszła z szarego grobu w pełne zielone życie.

Złożone na jego grobie kwiaty nie były jednak białe. Nie przyniosła ich również Swaantje. Greta, jego mądra, dobra i dzielna żona, uplotła wieniec z czerwonych maków i zawiesiła go przy łóżku u węzgłowia. Ileż kołysanek szeptały mu te kwiaty swemi lekkomyślnemi kraśnemi wargami"...

Warto naprawdę, by książka ta ukazała się też i w polskiej szacie!

Nazwałem Lönsa poetą młodych Niemiec. Po części dlatego, że coraz dalej sięga jego pogrobowy wpływ. Głównie jednak z tego powodu, że był on ideowym przywódcą ruchu aryjsko-germańskiego, wtedy, gdy słowo „völkisch" jeszcze nie istniało, a Hitler nie przeczuwał swej „karjery".

Löns podkreśla wielokrotnie swą niemieckość; piorunuje na wpływy gallijskie; umie dać ostrą ale względnie objektywną charakterystykę obcości dwóch pierwiastków: aryjskiego i semickiego. Ma nawet czasem nawroty pogańskie. Helmold Hagenrieder pyta sam siebie: „Dzięki czemu właściwie skarleliśmy? Przez technikę, czy przez chrześcijaństwo? Czy też przez protestantyzm? Nie wiem tego!"

Ten i podobne ustępy napsuły krytykom wiele krwi; większość ludzi ciągle jeszcze identyfikuje słowa, wypowiedziane przez jedną z osób powieści, z poglądami autora.

Zresztą kto wie? Ma bowiem Löns coś wspólnego z tą dziwną etyką, która zastanawia czytelnika przy uważnem wgłębieniu się choćby w „Pieśń Nibelungów". Etyka pragermańska mało ma wspólnego z hellenizmem!

I jeszcze jeden szczegół: Löns był Niemcem północnym. „Drugie oblicze" tymczasem przepojone jest erotyką południową. Wiąże się ta erotyka z problematami rasy germańskiej; poezja z mitologją. Zdaje się bohaterowi, że prosta dziewczyna z ludu uosabia mu cały naród; słuchając jej opowiadań, wyczuwa atawizm wiekowy i nasłuchuje dźwięków myśliwskich rogów w starych kniejach.

Największą zaletą twórczości Lönsa jest jej szczerość. Pisał to, co czuł; nie „wymyślał" i nie „fabrykował".

Alfred Bzowiecki.

*) T. Pilf. Hermann Löns der Dichter. Jena, Diederichs.

OD ADMINISTRACJI

WP. Czytelnikom, którzy do dnia 30 b. m. nie wpłacą zaległej prenumeraty (Zł. 6,50) dalsza wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Konto w P. K. O. Nr. 8.515

Powojenny teatr angielski

Jego losy i pisarze

W styczniowym numerze „Die Literatur" znajdujemy ciekawy artykuł Hermana Oulda o powojennym teatrze angielskim. Dajemy go w skrócie.

Dwa są momenty, które pozwalają na optymizm w stosunku do powojennego teatru angielskiego. Pierwszym z nich jest znaczny wzrost możności wydawania w druku sztuk teatralnych, a drugim — powstanie „zjednoczeń teatralnych". Przed wojną tylko najwybitniejsi pisarze teatralni mogli mieć nadzieję ujrzenia swoich sztuk w postaci książek. Dla Bernarda Shaw albo Johna Galsworthy wydanie utworów ich w książkach było zjawiskiem zupełnie naturalnem. Arturowi W. Pinero, Henrykowi H. Jonesowi, Johnowi Maxfield, H. Granville Backerowi i niektórym mniej znanym mogło się udać wprawdzie znalezienie wydawcy dla sztuk wystawionych, ale niewystawione rzadko ukazywały się na półkach księgarskich — chyba nakładem autorów.

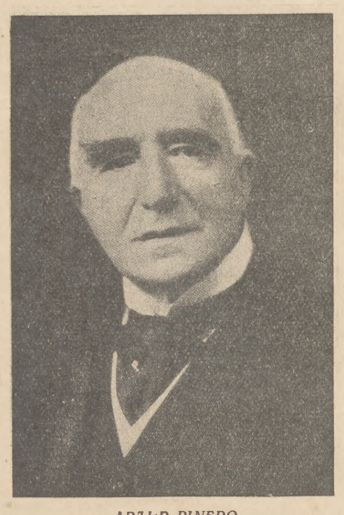

ARTUR PINERO

W dobie obecnej nastąpiła pod tym względem znaczna poprawa. Jest ona do zawdzięczenia wzrastającemu na nowo zainteresowaniu się teatrem jako sztuką literacką, a również uspołecznieniu tych nielicznych wydawców, którzy potrafią kierować się nie tylko względami kasowemi.

Teatr angielski podczas wojny przechodził okres upadku, był pozostawiony sam sobie bez żadnej pomocy państwa, zdany na łaskę i niełaskę publiczności. Rzadkie usiłowania dźwignięcia teatru, jak np. Granville Barkera, który wystawił sceny z „The Dynasts" Tomasza Hardy, albo sir Franka Bensona, który wystawił „Henryka V" Szekspira, poniosły zupełne fiasco, i scena zawojowana została przez sztuki najgorszego rodzaju; zawładnęły nią dramaty „szpiegowskie", „detektywne" i revues.

Już przed końcem wojny powstały jako reakcja przeciwko teatrowi, obliczonemu na dochód, grupy miłośników teatru, które rozpoczęły działalność na własną rękę, a wkrótce po zawarciu pokoju powstało aż czterdzieści zjednoczeń, mających na celu wystawianie sztuk wartościowych. Znaczenie tych grup dla repertuaru teatralnego Londynu było wielkie, chociaż większość ich szybko musiała się zlikwidować wskutek trudności materjalnych. Ale dowiodły one, że można jednak znaleźć publiczność dla dobrych sztuk i zmusiły teatry do odrzucenia chorobliwych naleciałości wojennych.

Teatr angielski daleki jest jeszcze od stanu, któryby nazwać można zdrowym, jednakże należy mieć nadzieję, że są już wszystkie warunki niezbędne do powstania zdrowego teatru.

Autorowie dramatyczni, którzy mieli już przed wojną renomę ustaloną, po zawieszeniu broni dopiero osiągnęli szczyty powodzenia. Tyczy się to przedewszytskiem Bernarda Shaw, Johna Galsworthy i Somerset Maughama.

Shaw przeszedł dziwne koleje. Podczas wojny zajął stanowisko objektywne, które wydawało się zdradą patrjotycznym Anglikom. Rozumiano stanowisko doskonałego patrjoty, a nawet punkt widzenia doskonałego pacyfisty mógł znaleźć uznanie: ale Shaw nie był ani patrjotą, ani pacyfistą; wzniósł się ponad pole bitwy, odczuł tragedję tego co się działo głębiej niż ktokolwiek inny, a jego sąd bezpartyjny nie robił różnicy pomiędzy sprzymierzonymi a państwami środka. Mówiono otwarcie, że słońce jego zaszło. Sztuka Shawa „Święta Joanna", która cieszyła się ostatnio olbrzymiem powodzeniem kasowem, wykazała jasno całą ironję powyższego twierdzenia.

Jeszcze przed „Świętą Joanną" wystawiona bvła sztuka p. t. „Heartbreak House". Sztuka ta nie miała powodzenia ani w wydaniu książkowem, ani na scenie. Grano ją po raz pierwszy w New-Yorku, później w Wiedniu, Monachjum, a wreszcie w skromnym londyńskim teatrze „Court Theatre". Jednakże byli między krytykami tacy, którzy słusznie zaliczali ją do najlepszych utworów Shawa. Odznacza się ona nie tylko najlepszym dowcipem, ale jest pierwszą ze sztuk Shawa, w których uczucie i traktowanie filozoficzne wyrażone jest nie przez usta, ale przez charaktery osób.

„Heartbreak House" — to przedwojenna Europa, Europa opętana bezpłodnym dyletantyzmem, piękna powłoka wiecznie wrzącego jądra, w którem ścierają się sprzeczne moce: niezadowolenie proletarjatu, nieczułość kapitału, wybujały militaryzm. Ucywilizowani Europejczycy szli przez życie bez kierunku i celu, chronili się przed rzeczywistością przez hołdowanie taniej sztuce i akademickie, powierzchowne zainteresowanie sprawami społecznemi, a nie umieli tych spraw po-

JOHN GALSWORTHY

stawić w jakimkolwiek stosunku do życia. Na taki dom musi przyjść katastrofa. I przyszła w postaci wojny.

SOMERSET MAUGHAM

Każdy charakter, przedstawiony w tej sztuce, jest nie tylko osobistością, ale wcieleniem idej i poglądów. Shaw ostrze-

G B. SHAW
na chwilę przed odjazdem z Londynu na Maderę

ga dzisiejsze pokolenie przed dyletantyzmem i brakiem wiary.

Niespodzianką dla teatru powojennego było powodzenie Johna Galsworthy —

K C. MUNRO

autora, który imię swoje dotychczas zawdzięcza umiejętności bezpartyjnego przedstawiania problematów społecznych. Sztuki jego są pełne subtelnych spostrzeżeń, a ich treścią uczuciową jest litość. Ogromnem powodzeniem cieszyła się po wojnie jego sztuka „The Skin Game", oparta na konflikcie arystokracji z wielkim przemysłem, a chociaż dialog tej sztuki jest mniej artystycznie przeprowadzony, niż w przedwojennych utworach autora, zadziwia jednak niezmiernie uczciwe postawienie problematu. Po wystawieniu sztuki „Loyalties" zdawało się, że Galsworthy zostanie wkrótce najpopularniejszym angielskim pisarzem dramatycznym, jednakże rzeczy późniejsze, jak np. „Windows", nie zdołały przyciągnąć publiczności w tej mierze, co poprzednie.

Inaczej Somerset Maugham. Rozpoczął od skrajnego idealizmu w utworze „The Man of Honour", ale porzucił wkrótce ten niewdzięczny rodzaj i wystąpił, jako satyryk, z szeregiem sztuk niezmiernie dowcipnyh. Pozyskał publiczność świetną (choć trochę konwencjonalną) techniką, pełną werwy intrygą i sporą dozą cynizmu. „Our Betters" — sztuka,

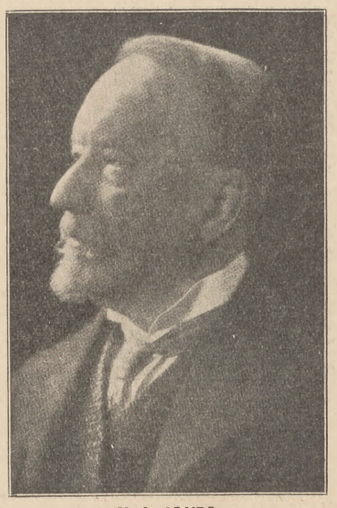

H. A JONES

grana przeszło rok z rzędu, jest daleka od typu sztuk angielskich: starzy mężczyźni uganiają się za młodemi kobietami, stare kobiety za młodymi mężczyznami, wszystkie żony mają kochanków, wszyscy mężowie kochanki. Ale są tam również charaktery, operujące kryterjami zdrowej moralności, i wskazujące na to, że Maugham nie lubuje się w zgniliźnie świata, którą wprowadza na scenę.

Z bardziej znanych dramaturgów wymienić jeszcze należy Jamesa Barrie, od którego wiele można oczekiwać, Artura Pinero i Artura Jonesa.

Poważniej wygląda twórczość H. Granville Barkera, którego główne dzieło teatralne „The Secret Life" daje świetny, chociaż znacznie wyidealizowany obraz dyplomatycznego i literackiego świata angielskiego. Barker posiada wielką subtelność uczuć w połączeniu z elegancją i prostotą stylu.

Młodzi pisarze angielscy nie są podatni dla eksperymentów; nie mają ochoty rywalizować z burzycielami formy w teatrach rosyjskich, niemieckich i czeskich. Utwory braci Capek „Życie owadów" i „R. U. R." nie miały w Anglji wielkiego powodzenia. Sztuka Kaisera „Gaz" i rzeczy Pirandella pozostały bez naśladownictwa. Anglja trwa wciąż jeszcze w zamiłowaniu dawnych form — zwłaszcza jeżeli chodzi o sztuki wystawiane, bo w niektórych drukowanych utworach scenicznych znać już dążność do zerwania z tradycją. Dotyczy to przedewszystkiem sztuk Hermana Oulda, „The Black virgin" i „The Dance od Life", w których widać wyraźnie wpływy dzisiejszych europejskich kierunków literackich.

Z młodych najwięcej hałasu narobił C. K. Munro. Grany początkowo przez „Stage Society" (grupa istniejąca od lat kilku i mająca na celu wystawianie repertuaru, niepodobnego do repertuaru teatrów, obliczonych na kasę), dostał się na scenę „Everyman Theatre, Hampstead". Sztuka jego „The Rumour" uważana była przez prasę za rzecz ekspresjonistyczną, choć nic wspólnego z ekspresjonizmem nie ma. Odznacza się śmiałem ujęciem satyrycznem i nadzwyczajnie trzeźwą abstrakcją intelektualną przy zupełnym braku uczucia lub namiętności. Munro posiada wiele mądrości i zrozumienia życia, może mu więc to pomóc do przeprowadzenia w przyszłości koniecznych skrótów i porzucenia przeładowywania sztuk drobnemi szczegółami.

Należy stanowczo zwrócić baczną uwagę na utwory Glovera. „What Tyler" i „The Kings Jewry" odbijają od całej reszty nowych dzieł dramatycznych wyjątkowo czystą i piękną angielszczyzną. Są one próbą wznowienia dawnego wielkiego stylu, bez chwytania się archaizmów — i to próbą zupełnie udaną.

Pisarka dramatyczna Clemence Dane nie miała dotychczas powodzenia. Akcja w jej sztukach jest mało przekonywująca, psychologja fałszywa. Od autorki tej wiele oczekiwano, ale zaszkodził jej mylny pogląd, że dostępne dla cnót są tylko kobiety, a mężczyźni to ucieleśnienie grzechu.

Reasumując można twierdzić, że scena angielska nigdy dotychczas nie posiadała tak wielkiej liczby dobrych sztuk, ale w tej masie niektóre tylko mają pierwszorzędne znaczenie. Shaw wciąż jeszcze przoduje w Anglji życiu teatralnemu; nie daje to bynajmniej powodu do niezadowolenia, ale byłoby dobrze, żeby pomiędzy młodymi znalazł się ktoś powołany do pochwycenia w swoje dłonie pochodni. Niewątpliwie już żyje wśród nas: dzieci nasze nazwą go genjuszem, a ślepotę naszą potępią.

Najmłodsza Ameryka literacka

Rozmowa z Glenwayem Wescottem

Paryż, w marcu 1925.

Kiedy wśród wielu innych literatów poznałem młodego pisarza amerykańskiego nazwiskiem Glenway Wescott, poczęliśmy rozmawiać o książkach. Jest to dosyć rzadkie zjawisko — zazwyczaj literaci rozmawiają o wyścigach, doktorzy o malarstwie, a muzycy (niestety!)

GLENWAY WESCOTT

o literaturze. Zeszliśmy się oczywiście na najbardziej palącem obecnie zagadnieniu, na buncie pewnych kół starych i młodych przeciw wyolbrzymianiu znaczenia grupy autorów, otaczających „Nouvelle Revue Française". Mimo sympatyj, jakiemi obaj pałaliśmy do pisarzy idących pod sztandarem NRF., z których Gide'a, Valéry'ego, Claudela należy uważać za najbardziej reprezentacyjnych pisarzy francuskich nowej epoki — podzielaliśmy swe zastrzeżenia.

Wescott trzymał w ręku ostatni numer „Dial" z artykułem Waldo Francka o Bazalgette'cie i jego książce poświęconej Whitmanowi. „Widzi pan, — pokazał mi cytat, — oto Franck nazywa nastrój, łączący Claudela, Prousta, Gide'a, Valéry'ego — poprostu narcyzyzmem!"

— No, to już jest „grzebanie ryczałtem", — powiadam na to, — mimo to jest to odbicie pewnego poglądu krytyki amerykańskiej. Przyznam się panu, że nie mam pojęcia, co się tam dzieje. Niechże mi pan opowie o najnowszej literaturze amerykańskiej. Oczywiście będzie to bardzo stronne, tak samo jak ja stronnie opowiadałem panu o „Skamandrze" — im bardziej subjektywnie scharakterzvuje pan nową literaturę amerykańską, tem będzie to dosadniejsze i pełniejsze wyrazu. Niech pan zacznie od siebie. Słyszałem już od moich amerykańskich przyjaciół o pana jedynej, ale bardzo sławnej książce. Nazywa się „Źrenica oka". Podobno miała pewien rozgłos w Ameryce i nawet poniekąd skandaliczny rozgłos.

— O, co to, to nie. Coprawda u nas o skandal nie trudno. Cała nasza literatura jest skandalem. Wszyscy żyjemy pod przekleństwem problematu moralności, który jest czemś tragicznem dla nas młodych. Problemat ten, nierozłączny i nieodstępny, prześladuje nas nawet poza granicami kraju i nie daje się nam skupić w organizacji, będąc pretekstem do bardzo częstych kłótni i rozłamów. Jest to ten ciągły i stały rozdźwięk między zasadami idealizmu amerykańskiego, w którym nas wychowują, a pomiędzy tem wszystkiem, z czem się spotykamy w życiu. Matki nasze, najczęściej kobiety prawdziwie święte, wpajają w nas od kolebki zasady, z któremi przez życie przejść prawdziwie niepodobna. Tak np. ideał czystości przedślubnej mężczyzny, który nam towarzyszy od dzieciństwa, sprawia, iż pierwsze nasze przeżycia erotyczne są prawdziwą i straszną tragedją. Otóż tym zagadnieniom i problematom czysto amerykańskim poświęciłem swoją pierwszą (ale nie jedyną!) książkę, która rzeczywiście miała pewne powodzenie.

— Jaką pan miał tezę?

— Ależ, broń nas Boże, od tez. My, młodzi, teraz chcemy poprostu widzieć rzeczy jak one są. Jest to naturalizm bez określonych zamiarów. Poprostu chciałem w swej książce przedstawić skutki — i dobre i złe — wychowania idealistycznego i dualizmu moralnego, będącego jego wynikiem. Oczywiście wywołało to pewne zgorszenie...

— Powiedział pan: „my młodzi", Czy stanowicie zwartą grupę? Kto do niej należy?

— Stanowiliśmy do pewnego stopnia grupę. Obecnie rozsypaliśmy się... Zresztą nigdy nie znaliśmy się dostatecznie i nie byliśmy nigdy zwarci. Oczywiście problematy „moralności" odgrywały tutaj swą nieszczęsną rolę... Uważam, że tak jest źle, ale tak jest... Otóż najważniejsza grupa młodych pisarzy amerykańskich przebywa w Paryżu. Łączyła się ona wokół miesięcznika „La Revue Transatlantique", wydawanego przez genjalnego redaktora, znanego współpracownika Conrada, Forda Madoxa Forda. Miesięcznik ten przestał wychodzić od pięciu miesięcy. Najwybitniejszy wśród tych pisarzy jest Robert Mc. Almon, autor powieści „Village" poświęconej zobrazowaniu prowincjonalnego życia w Ameryce. Zresztą ten sam temat opracowują i inni pisarze tej grupy: Iwan Beede, Ernest Hemingway („In Our Time") albo Ruth Suckow („Country People").

— O, same tytuły już świadczą o tem...

— Ruth Suckow dzieli wraz ze mną pewien rozgłos. Inni nie są jeszcze popularni. Ale...

— Cóż was łączy? — zapytuję znowu.

— Co nas łączy? Stosunek do życia. Amerykanie zawsze mówią o kształceniu się i postępie. Obrzydło nam to docna. Wszyscy u nas chcą się czemś stać. Ależ my jesteśmy. My już jesteśmy i więcej niczego nie chcemy. Wolę być czemś, niż czemś się stawać. Chcemy skonstatować, czem jesteśmy, i zwyczajnie to notujemy. Nie mamy żadnych wielkich ambicyj, chcemy patrzeć w teraźniejszość i brać ją poprostu. Wszyscy pisarze, których przed chwilą wymieniłem, piszą codziennym, zwyczajnym, brzydkim językiem. Językiem dziennikarskim...

— Czy pan w tem naśladuje swoich kolegów?

— O, nie. Na to się zdobyć nie mogę i uważam, że to jest niepotrzebne. Ale też dzięki temu pośród swoich jestem uważany za nadto wymyślnego...

— Czy łączą was jakieś wpływy? Może francuskie, Balzac, Zola? — podpowiadam.

— Ani troszkę. Balzac — to romantyk, a Zola pisze przecie zawsze dla pewnej tezy. Matką naszą jest jedynie Gertruda Stein...

— Przykro mi, — mówię, — ale słyszę to nazwisko po raz pierwszy.

— To bardzo znana pisarka. Ona to odkryła nam wielkie talenty Matisse'a, Picassa, Deraina. Ostatnio ogłaszała w „Revue Transatlantique" fragmenty swego kapitalnego dzieła. Nazywa się to „The Making of Americans" („Jak powstają Amerykanie") i zawierać będzie w 5—6 tomach dzieje współczesnej kultury amerykańskiej. Gertruda Stein (z pochodzenia Żydówka) jest doktorem medycyny (skończyła jeszcze kilka innych fakultetów). Na wzór książki medycznej przeprowadza analizę psychologiczną i nawet fizjologiczną najróżnorodniejszych typów amerykańskich obywateli.

— Czy wpływ tej indywidualności nie zaciążył na was?

— Formalnie nie. Może jeden Robert Mc. Almon... Ale zawdzięczamy jej swój pogląd na życie i na naszą sztukę...

— Mówi pan tylko o swoich, o najmłodszych. A inni?

— My jesteśmy oczywiście bardzo młodzi. Jesteśmy prozaicy, wszyscy. Ja, niestety, pisałem i wiersze. Mają właśnie wyjść niedługo w książce jako curiosum. Powstaliśmy właściwie jako reakcja przeciwko poprzedniemu pokoleniu poetów, z którymi różni nas przepaść dziesięciu lat...

— Nie taka to znów przepaść!!

— Oczywiście. Ale nikt bardziej się nie różnił jak te dwa pokolenia pisarzy. Tamci to są wszystko poeci...

— Mianowicie?

— Jest to dawna grupa „The Others", która przedtem publikowała wspólne antologje. Teraz od r. 1919 pracują osobno. A więc Marianna Moore, która właśnie niedawno otrzymała pokaźną nagrodę miesięcznika „Dial" (2000 dolarów!), poetka szalona — i cudowna, która coprawda żyje pod wpływem klasyków, ale te wpływy są szczere i proste u niej, bez sztucznej roboty. Potem Mina Loy, Carlos Williams, wreszcie dwaj Amerykanie, którzy przenieśli się do Londynu i doczekali wielkiej wziętości w starej Anglji, a których imiona znane są napewno i w Polsce; są to Ezra Pound, kojarzący w dziwnym splocie wpływy prowansalskich i chińskich poetów, i T. S. Eliot, redaktor miesięcznika „Criterion", znajdujący się znowuż pod wpływem Dantego i poetów epoki Elżbieteńskiej...

— Co za dziwne krzyżowania!

— Tak! Właściwie nasza literatura, a nawet cała literatura angielska, jest to literatura prowincjonalna. Krzyżują się w niej literatury całego świata, wyrasta ona dopiero na podłożu tych krzyżowań...

— No, ale jak wyrasta! powiadam. Któż jest jeszcze?

— Mówiłem najdłużej o najbliższych, oczywiście są i inni. Naprzykład grupa otaczająca miesięcznik „Broom", który dawniej wychodził w Rzymie, obecnie w Berlinie. Przypomina on kierunkiem „Dada" Tristana Tzary i t. d. Znajduje się jednak tam krytyk, którego uważam za najzdolniejszego z młodych; nazywa się Kenneth Burke.

— A „Dial"?

— To pismo ma swoje zasługi. Zaznajomiło nas z większością współczesnych pisarzy francuskich i niemieckich. W gruncie rzeczy jest konserwatywne. Jest tam E. E. Cummings — ma on najwięcej talentu z całej grupy, ale to jest jeszcze bardzo mało.

— Wierzy pan w swoich? —

— Naturalnie. Powiedziałem panu jednak, że nie jesteśmy ambitni. Zaczynamy poprostu od samego dna. Jesteśmy zadowoleni z tego co mamy. To wystarczy.

Jarosław Iwaszkiewicz.

Ostatni tom poezyj

Gabrjela KARSKIEGO

p. t.

GRA

Skład główny: T-wo Wydawn. „IGNIS"

Nowe powieści niemieckie

„Dobra droga" Flakego

Otto Flake. Der gute Weg. Roman. Berlin, S. Fischer, 1924; str. 8nl. i 343 i 5nl.

Otto Flake był zawsze literackim „traperem", dla którego współczesne kierunki stanowią tylko punkt wyjścia nigdy nieustających poszukiwań. Istotnym elementem jego twórczości jest ruch, jakkolwiek pojęty zupełnie inaczej, niż np. w pełnej energetycznych form czasownikowych poezji Hasenclevera. Ruch Flakego ogranicza się do wielokierunkowości czysto intelektualnej, do przemierzania nieskończonej ilości dróg myślowych dla odszukania jedynej „dobrej drogi". Stąd też może pochodzi dialek-

OTTO FLAKE

tyczny charakter ostatniej jego powieści.

Sposobem ludzi, którzy krążąc po samotnym pokoju, korzystają dla skontrolowania własnego sądu z dramatycznych walorów rozmowy, rozkłada Flake na osoby swój uczony traktat o „dobrej drodze". Awanturniczość czy nieprawdopodobieństwo akcji nie ma tu żadnego znaczenia — niewyraźna, nadająca się dla literatury brukowej historja miłosna przynosi raczej dowód na rzecz nieistotności wydarzeń zewnętrznych wobec ośrodka dialektycznego. Motywy powieści stanowią tylko dogodny pretekst dla wzajemnie wykluczających się zdań dialogu, który, wyszedłszy ze zdarzenia jednostkowego, obejmuje całokształt zagadnień ludzkich. Czasem rola akcji ogranicza się tylko do retardacji wyników myślowych, czytelnik bowiem, wedle Flakego, winien pokonać pewien opór, zanim dzieło stanie się jego własnością wewnętrzną. Rzeczywistość w „Dobrej drodze" pozbawiona cech przypadkowości nadaje się doskonale do celów eksperymentalnych, jej fragmenty są tylko objektami laboratoryjnemi dla sprawdzenia tezy dialogu. W tym celu autor grupuje drobiazgową techniką kreślone sceny dokoła pewnych osi zasadniczych. Mimowoli tworzy Flake nowy typ powieści tendencyjnej, gdzie przez doprowadzanie do absurdu rozwiązań hipotetycznych otrzymuje się wreszcie projekcję rezultatu ostatecznego — coś w rodzaju utopji, nie wchodzącej już zresztą w ramy romansu. Jest to jakby renesansowe speculum, „żywot człowieka poczciwego" ostatnich dni, gdzie gospodarskie przepisy rządzenia monarchją, czy myśliwskim zameczkiem, zastąpiono etyką bergsonistyczną. Za punkt wyjścia bierze „Dobra droga" religijne ujęcie stosunku człowieka do rzeczywistości — religijne w tym sensie, jaki miał na myśli Flake, ucząc w „Das Ende der Revolution", że do religijności sprowadza się wszelka problematyka zarówno w czynie jak i w polityce. O powstaniu uczuć religijnych rozstrzyga dramatyczny konflikt pomiędzy koniecznością poddania się systemowi a płynącym z poczucia niesprawiedliwości oporem, który buntownicze pierwiastki duszy ludzkiej przeciwstawiają zgóry ustanowionej klasyfikacji. Sprzeciw wewnętrzny urasta tu do znaczenia czynu — ostatnia powieść Flakego przynosi wreszcie rozwiązanie tak ważnej dla jego systemu pojmowania świata biegunowości czynu i myśli. Czyn duchowy prowadzi na ową dość nieoczekiwaną w powieści intelektualistycznej „drogę serca i naturalności". Stanowisko to zachowuje swoją wartość zarówno w sferze interesów erotycznych, jak i wobec skomplikowanych zagadnień życia społecznego. Jakby dla zadokumentowania zasadniczej tezy romansu aktualność polityczna wraz z chaotycznym splotem wydarzeń i problematów powojennych przełamuje ramy konstrukcji abstrakcyjnej. „Dobra droga" robi chwilami wrażenie romansu podróżniczego po ziemiach wstrząśniętych straszliwą katastrofą; jako bezpośredni rezultat tych wędrówek pojawia się tu odrębne ujęcie problematu narodowości. Już nie eksperyment literacki czy filozoficzny, ale doświadczenie wewnętrzne prowadzi do zlokalizowania akcji powieściowej częściowo na pograniczu śląskiem, częściowo zaś na terenie sporów włosko-austrjackich; w żyłach bohaterki niedaremnie płynie zamorska krew malajska. Hasłem powieści staje się stworzenie „stanu ponadnarodowego". Jest to zupełnie zrozumiałe u autora tej powieści, Alzatczyka, który wydaną przed kilku laty książką p. t. „Abschied an Elsass" dowiódł, iż bynajmniej nieobojętnie odnosi się do zagadnienia narodowości.

Regina Reicherówna.

OTTO FLAKE

DER GUTE WEG

Powieść

S. Fischer-Verlag, Berlin

Mk. 4.50, w opr. płóc. mk. 6.—

Antoni Słonimski

Listy do przyjaciół

Curityba, w styczniu 1925.

15 grudnia.

Zamówiliśmy kabinę na okręcie „Commendante Alcidio" Lloydu Brazylijskiego. Statek ten ma nas zawieźć przez Santos do Paranagua. Będzie to trwało trzy dni; stamtąd koleją ruszamy nareszcie w głąb kraju. Dzień cały minął na przygotowaniach do podróży, kupowaniu zapasów, klisz, wysyłaniu listów i tym podobnych nudnych rzeczach.

16 grudnia.

Rano pożegnaliśmy Rio, wchodząc na pokład marnego stateczku, który ma nas zawieźć do ujścia rzeki Iriberi, gdzie leży przystań Paranagua. Kabinę mamy dantejską. Nora na dnie okrętu bez okna, gdzie mieści się czterech ludzi teoretycznie — praktycznie bowiem mógłby się tam zmieścić jeden inwalida bez obu nóg, na które budujący tę kabinę nie przewidział miejsca. Na pokładzie spać nie można, cały okręt bowiem zawalony jest wojskiem. Pierwszy dzień dłużył się szalenie. Jedze-

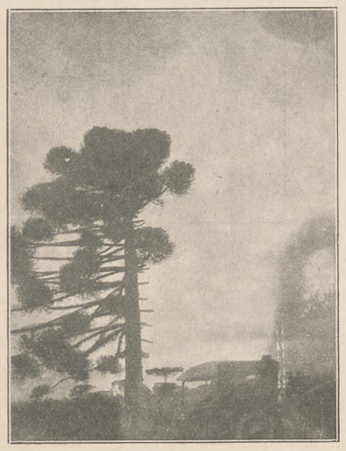

PINJOR KRÓLA FERDYNANDA

nie jest tego rodzaju, że włos znaleziony w siekanej rybie był najsmaczniejszym kęskiem obiadu. Pasażerowie — typy z Lombrosa. Wielki zjazd towarzyski wszystkich kretynów i zbrodniarzy z całej Brazylji. Statek kołysze się przytem tak gwałtownie jak gdyby chciał zrzucić ze siebie całe to tałałajstwo. Kapitan nie włada żadnym obcym językiem, a swojego używa tylko do ordynarnego wymyślania na marynarzy i pasażerów. Wieczorem próbowaliśmy się wcisnąć do naszej kabiny. Jeden z naszych towarzyszy jest chory na morską chorobę, drugi to mały kadet ze szkoły wojennej, który zajada arbuza i mangę i rzuca resztki na nasze biedne głowy. Mimo tych wszystkich dolegliwości, zachód słońca na tym małym stateczku miał urok prawdziwego egzotyzmu i podróży z powieści Jules Verne'a.

17 grudnia.

Rankiem przybiliśmy do Santos. Z dziką radością więźniów wypuszczonych z celi wyszliśmy na miasto. Okręt stoi tu cały dzień, można więc będzie odetchnąć. Nie znając zupełnie miasta próbowaliśmy się dostać do centrum, pytając się o najlepszy hotel i dworzec kolejowy. Błądząc przez godzinę wciąż po tych samych nędznych uliczkach, znaleźliśmy wreszcie dworzec, przed którym stało parę samochodów. Kazaliśmy się zawieźć do hotelu „Washington", który nam wskazano jako

A. SŁONIMSKI NAD IRIBERI

najlepszy. Szofer zakręcił parę razy korbą, objechał placyk kolei i stanął przed jakąś ruderą, obok której przechodziliśmy już parę razy. Trzeba mu było za to zapłacić sześć milreisów, cośmy ze wstydem milczkiem uczynili. Zostało nam jeszcze dziesięć godzin do odjazdu okrętu — ponieważ zaś wszystko było lepsze od wracania na okręt, wsiedliśmy do jakiegoś tramwaju, który dzwonił właśnie przed dworcem. Po dwudziestu minutach jazdy nagle znaleźliśmy się na pięknej plaży, pełnej eleganckich hoteli i kawiarni. Radość i gorąco ogłupiły nas do tego stopnia, żeśmy około dwunastu razy przeszli koło jakiejś kawiarni, za każdym razem wstępując tam na lemonjadę.

18 grudnia.

Podła noc. Kadet wynajmował swoje miejsce na godziny. Co chwila wchodził jakiś pasażer, tratując nas, drapał się na górne łóżko, stękał chwilę, poczem złaził i bił w korytarzu kadeta, który tymczasem znajdował za parę milreisów nowego reflektanta na miejsce w kabinie. Przed świtem udało nam się dostać na przód okrętu, gdzie można było siedzieć na suchym pokładzie. Pod wieczór wpłynęliśmy w płytką smutną zatokę Paranagua. Okręt stanął o kilometr od brzegu. Wśród wrzasku i krzyku wdarliśmy się na łódź motorową, grożono nam bowiem, że jeśli nie dostaniemy się do miasta przed siódmą, będziemy musieli wrócić i nocować na statku. Była to najzłośliwsza groźba, jaka mnie spotkała w życiu. Paranagua robi smutne ale urzekające wrażenie. Tak musiała wyglądać osada, w której mieszkał Almayer Conrada. Tak sobie wyobrażałem to senne ujście rzeki, to parne, zamglone niskie wybrzeże, porosłe trzcinami i plataniną korzeni pijących płytką, gęstą wodę. Smutek nierozumny wieje z każdego kąta tej osady.

18 grudnia.

Droga z Paranagua do Curityby uważana jest za najpiękniejszą w Ameryce. Niema w tem chyba pomyłki. Jedzie się tysiąc metrów w górę przez las dziewiczy, rozrosły na potężnych skałach łańcucha Sierra da Mar. Co chwila otwierają się pod nogami przepaście, zarosłe najwspanialszą zwrotnikową roślinnością. Wodospady, spadające w głębokie, czarne jary, wiją się srebrnym welonem wśród odwiecznych leśnych olbrzymów, wśród palm i potężnych paproci drzewiastych. Pył wodny pokrywa brylantową rosą bukiety oleandrów, azalij, puncyj, glicynij i storczyków. Powietrze przepojone jest ostrą, dziką wonią górskiej puszczy. Gdy spojrzeć dalej, widzi się rozległą panoramę i blade pasmo dalekiego morza. Głęboko w kotlinie majaczy małe miasteczko Morretes. Przez cztery godziny jedzie się wciąż pod górę i prawie nigdzie nie widać ludzi lub śladów ludzkiego pobytu. Jak i cała Brazylja, ten szmat ziemi jest tylko zrzadka usiany wysepkami zamieszkałych terenów. Wystarczy — bez przesady — wyjść z pociągu, wedrzeć się kilkadziesiąt metrów w tę zwartą ścianę zieleni, aby spotkać jaguary, żmije, papugi i pancerniki. W miarę podróży powietrze staje się rzeźwiejsze. Wydostajemy się bowiem z gorącego klimatu wybrzeża. Większa część stanu Parana to płaskowzgórze wzniesione paręset metrów nad poziom morza.

Jedzie z nami jakiś Brazylijczyk, który mówi po polsku. W okolicach Curityby jest to dość częste — nie trzeba bowiem zapominać, że jest tu około dwustu tysięcy Polaków, a ludność całego stanu parańskiego nie ma nawet pół miljona. Pan Quadros, nasz towarzysz, opowiada o jaguarach, które zeszłego roku w tych górach właśnie zagryzły dwu Niemców. Mimo iż fakt ten nie jest wesoły, uśmiechamy się do siebie z Balińskim. Oto — prawdziwy egzotyzm.

9 grudnia.

Wilję spędziliśmy u państwa konsulów. Pan konsul Miszke jest wyjątkowo miłym i kulturalnym człowiekiem. Pani konsulowa jest przytem utalentowaną pianistką. Jest to oaza kultury w tym smutnym i dzikim kraju, oaza, do której garnie się cała, nieliczna zresztą, gromadka kulturalniejszych cudzoziemców. Jest to pozatem jedyny bodaj dom w Curitybie, na który miejscowi Polacy nie wymyślają. Przypisać to należy w części prestige'owi Rzeczypospolitej, w znacznej zaś mierze taktowi i rozumnemu stanowisku konsula. Naogół kolonja polska robi wrażenie ujemne. Mała, zatęchła prowincja, plotki, kalumnje, nienawiść i marny poziom umysłowy. Jest oczywiście parę wyjątków.

Poznaliśmy pewnego łyka miejskiego — sklepikarza — t. zw. tutaj „wendzistę" (czyli taki, co zwędził) — ma pół miljona w majątku, twierdzi, że rzeka Amazonka leży na biegunie, i jest socjalistą. Inny miejscowy potentat, podając rękę Balińskiemu, powiedział nie wiedzieć czemu: „Dziękuję". Można dostać malarji i robaków w brzuchu, kiedy się słyszy, jak taki typ cytuje w rozmowie „Balcera w Brazylji". Najlepsi i najkulturalniejsi z kolonji — t. zw. lewicowcy — przerażają znów naiwnością i studenckim stosunkiem do świata. Ludzie ci zastygli w tej epoce, w której opuścili Polskę, można tu więc spotkać studentów z r. 1885 lub działaczy z r. 1905. Przypomina mi się powieść Conana Doyle'a o zaginionym świecie przedpotopowym, który jakiś uczony odkrył w środku Ameryki południowej. Trudno o lepszą analogję. Obserwować tu można i ludzi kopalnych i ludzi kopanych.

Socjalizm tutejszy jest nieistotny i najzupełniej fikcyjny. Kraj, w którym niema bezrolnych i bezrobotnych, gdzie każdy może mieć jeszcze bodaj dziś tyle ziemi wiele zechce, nie jest wdzięcznym terenem dla socjalizmu. Walka lewicy z prawicą ogranicza się tu poprostu do walki z klerem, a raczej do osobistej nienawiści paru doktorów i paru księży.

26 grudnia.

Złożyliśmy oficjalne wizyty w prasie polskiej i brazylijskiej oraz sekretarzowi generalnemu stanu Parana. Jest to, jak się okazało, literat, obiecał przysłać nam bilety wolnej jazdy na koleje parańskie i parę swoich książek. Narazie przysłał nam tylko swoje dzieła, z któremi daleko nie można zajechać. Naogół Brazylijczycy zarówno w mieście jak i w lasach odznaczają się wielką uprzejmością. Mają jak gdyby resztki dawnej portugalskiej grandezzy.

W pierwszy dzień świąt zrobiliśmy piękną wycieczkę do Graciosy. Przejechaliśmy sto dwadzieścia kilometrów autem, docierając aż do słynnego wodospadu, który się ślicznie nazywa „Welonem Panny Młodej". Znowu te same głębokie jary, studnie, kopalnie ciemnej zieleni przysnutej błękitnym pyłem. Z głębi wznosi się majestatyczna i smukła palproć drzewna. Wszystkie nasze doniczkowe mizerne roślinki rosną tu i kwitną w swojem królestwie, jako silne, potężne drzewa. Papugi o żółtych brzuchach i błękitnych piórach napełniają las wrzawą. Nad bukietami kwiatów unoszą się wielkie jak ptaki motyle i małe jak ćmy kolibry.

W Polsce uciekałem, przyznaję to,

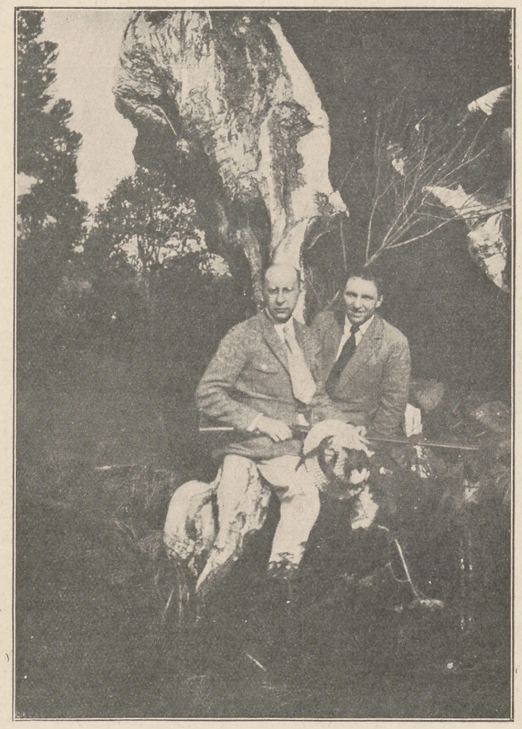

POLOWANIE W DORIZONIE:
A Słonimski i St. Baliński

zwykle od natury: przyroda bez znajomych nie przedstawiała dla mnie uroku. Tutaj uciekam od ludzi, a każdy dzień spędzony w lasach jest radosnem wydarzeniem. Natura jest tu zbyt piękna, aby była zdrowa. Przez parę dni pobytu w Curitybie przechodziliśmy, na szczęście w imaginacji, najstraszniejsze choroby. (Pukam w drzewo). Na każdej oficjalnej wizycie jakby umyślnie dowiadywaliśmy się z rozmowy o jakiejś nowej zarazie. Z drobniejszych chorób wyliczyć należy trąd, który tu jest dość częsty i bynajmniej nie izolowany, oraz dżumę, której parę wypadków zdarzyło się na okrętach „Lloydu Brazylijskiego". Pozatem jest serja robaków wkręcających i rozmnażających się w ciele, dużo mówiono w czasie wizyty u doktora Szeligowskiego o pluskwiaku „barbeiro", który roznosi nieuleczalną chorobę gruczołu tarczowego. W czasie wizyty u księży misjonarzy, gdzie nas przyjmował jowialny i miły ksiądz Rzymełko (posiadacz lunety astronomicznej, tubalnego głosu i złotego serca), dowiedzieliśmy się o jadowitych pająkach i o pewnym gatunku żmiji, na które niema „serum"! Surowicę przeciw żmijom nosi tu wiele osób przy sobie. Miłą też dla nas wiadomostką było, iż po ukąszeniu „quatiary", bardzo popularnej żmiji, śmierć następuje po dwudziestu minutach. O ilości żmij przekonaliśmy się naocznie w czasie wycieczki do Araucarii.

PARTJA PIKIETY W CURITYBIE:
St Baliński i A. Słonimski

27 grudnia.

Wycieczka do Antoniny. Raniutko o siódmej koleją do Morretes. Z Morretes boczną linją do osady Antonina nad ujściem rzeki Cachoeira. Zostawiliśmy rzeczy w małym niemieckim hoteliku i w najgorętszą porę dnia w samo południe dotarliśmy do małego wzgórza bananowego, skąd roztacza się ciężki, smutny widok na szarą zduszoną zatokę. Zgubiłem tam moje pióro wieczne (jak się okazało, nie było znowuż takie bardzo wieczne).

30 grudnia.

Odwiedziliśmy kolonję polską, Świętą Candidę. Jadąc do kolonji, wstąpiliśmy do zagrody kolonisty. Tępy, zapity, ponury chłop. Nazywa się Jan Kania. Jak kania dżdżu, tak on łaknie wódki. Bił od niego już na parę kroków zapach „cachasu" czyli wódki trzcinowej. Na ścianie w izbie wisiał portret Mikołaja II. Chłop nie odpowiadał na pytania, tylko się drapał z nieufnością w głowę (w taką głowę trudno się drapać z ufnością).

OBERŻA W PONTA GROSSA

Kolonja w Candidzie robi na zewnątrz miłe i czyste wrażenie. Z Candidy wąską drogą leśną dostaliśmy się do kolonji Abranches. Miły smukły kościół drewniany na wzgórzu wśród palm. Był z nami doktór Szeligowski. Rozmowy na plebanji, docinki proboszcza i doktora, przekomarzania się ze staruszkami — zakonnicami — wszystko to zapachniało dziewiętnastym wiekiem.

4 stycznia 1925.

Jestem chory. Musiałem się zaziębić w drodze — przygnębia mnie przestrzeń dzieląca od Warszawy. Podróż traci cały swój urok, gdy się jest chorym. Jesteśmy od trzech dni w Marechal Malet. Mój Boże, jak to daleko! Trzeba stąd jechać szesnaście godzin koleją do Curityby, potem pięć godzin do Paranagua, stamtąd trzy dni morzem do Rio, z Rio dwadzieścia dwa dni okrętem do Hawru — i jeszcze czterdzieści godzin koleją do Warszawy.

Wyjechaliśmy przedwczoraj rano. Męcząca podróż z Curityby do Ponta Grossa, wśród tumanów czerwonego pyłu, który nie pozwala oddychać i dusi formalnie. Ponta Grossa, t. zw. „Księżniczka Pól", leży wśród rozległych stepów. Do Marechal Malet przyjechaliśmy nocą. W drodze jadący z nami przygodnie p. Kawecki opowiadał ponure historje o wężach i chorobach. O grzechotniku, który wlazł do łóżka. O strasznym pająku, który zabija, o wampirach, które ze śpiących krew piją, i o „biszu", którego ukąszenie powoduje utratę wzroku. Była już noc. Pociąg kołysał się na szynach. Zerwała się groźna burza z błyskawicami i piorunami. Słuchaliśmy tych opowiadań o wężach i Indjanach, i było chwilami tak strasznie i miło zarazem, jak kiedyś w dzieciństwie, gdy się słuchało wieczorami bajek.

Zabawnie się czuję tu w Malecie. Leżę w łóżku, jestem osłabiony, przeglądam stary rocznik „Tygodnika Illustrowanego" z r. 1903. Dogląda mnie miły i uczynny doktór Kochański. Podobny jest do grubego rocznika, który przeglądam — bije od niego ta sama łagodna, przedwojenna beztroska, i jak „Tygodnik" pełen jest różnych małych wiadomości. Jest to już zaginiony u nas w kraju typ starego, mądrego i dobrego lekarza. Wszystko to tak mnie usposabia, że mam wrażenie chwilami jakby nigdy nie było wojny ani podróży — jestem na wakacjach w Jarosławiu nad Świdrem.

6 stycznia.

Na szczęście przeszła mi gorączka, i czuję się już dobrze. Malet jest to osada najzupełniej polska, wszyscy — nawet nieliczni mieszkający tu Brazylijczycy — mówią po polsku. Mieszkamy w hotelu „Maletańskim" u p. Sztachelskiego, który ma dwoje dzieci — synka imieniem Nelson i córeczkę Bahię. Nasz hotelarz objechał całą Amerykę południową, nie wyłączając Peru i Boliwji. Jeździł jako pomocnik żonglera i sztukmistrza — jakiegoś Włocha, którego fotografja wisi na honorowem miejscu.

Wczoraj z Maletu pojechaliśmy końmi do Dorizonu. Mieszkają tam pp. Krzesimowski i Suchorski, właściciele najlepszej w Paranie winnicy. Dzikiej puszczy brazylijskiej wyrwali wielki szmat ziemi, na którym rozsiadła się wzorowo prowadzona winnica. Obaj robią najmilsze wrażenie. Siedzą zdala od ludzi u stóp łańcucha Sierra d'Esperanza i wyglądają obaj na zwykłych, napół dzikich kabokli. Przekonałem się, że mam do czynienia z ludźmi o wyższem wykształceniu, z ludźmi, którzy czytają bardzo wiele, a co ważniejsza — z ludźmi o szlachetności i prawości, którą już chyba tylko w lasach dziewiczych można spotkać. Jest tam prócz nich dwu synów p. Krzesimowskiego — małych chłopców, którzy chodzą po lesie, jak sam Winnetou, czerwonoskóry gentleman — strzelają wyjce i papugi i pożerają oczami każdego przybysza z Polski. Obaj mili chłopcy mają swe własne życie — dziecinne myśli i tajemnice. Do dziś dnia wszystkie ich rozmowy kręcą się wokół jedynej w życiu podróży nad morze do Paranagua dla zwiedzenia polskiego statku „Lwów".

Wieczorem przy winie dopytywali się mnie obaj gospodarze o wiadomości z kraju. Mówiłem do nich tak jakbym mówił do Cedry albo do Olbromskiego, gdybym im przyniósł do Hiszpanji wiadomość o wolności i szczęśliwości kraju. Jest się tu tak daleko od Polski, że w chwilach słabości ogarnia prymitywny patrjotyzm. Oddalenie jest tak wielkie, iż bardziej niż widok jaguara wstrząsnął mną numer „Wiadomości Literackich", odbity już po moim wyjeździe z kraju, a znaleziony przeze mnie na stole u niejakiego p. Rysicza za Maletem. Pan Rysicz jest miernikiem leśnym, jak wielu inteligentniejszych Polaków. Niestety, jak samo to słowo wskazuje — poziom tej inteligencji jest dość mierny.

11 stycznia.

Ponta Grossa. Hotel Rodriguez; głęboki smutny interjor. W pustce wielkich stepów mała gauczoska osada — miasteczko zwane „Królowa Campu". Czuć tutaj powiew rewolucji. Teren walk jest niedaleko. Na stacji pełno kolorowego wojska. O rewolucji słyszy się tu dość uszczypliwe zdania. Przeważa opinja, iż wojska republikańskie dawno mogłyby już zgnieść szczupłe oddziały rewolucjonistów, ale z punktu widzenia handlowego najzupełniej się to nie kalkuluje. Każdy bowiem żołnierz i oficer na froncie pobiera powójną pensję i ma prawo do rekwizycji. Wojska rządowe weszły więc podobno w układ z rewolucjonistami, którzy za skromną opłatą nie dają się okrążyć ani rozproszyć. Nam osobiście rewolucja wyrządziła krzywdę, gdyż mimo starań nie mogliśmy dostać samochodu ani koni do kopalni djamentów pod Tibagy. Musieliśmy więc poprzestać na dość męczącej wycieczce w głąb stepów do Villa Velia. Jest to znane z piękności, ale przez nikogo nie zwiedzane jakby miasto, stworzone przez naturę ze skał i kamieni. W pustym stepie między kopcami termitów i miękkich krzewów wznoszą się bryły skaliste o fantastycznych kształtach. Są tam pomniki formistyczne, bryły przypominające rzeźby Archipienki, arki kamienne i naturalne schody.

Przyjazd do Curityby był po tych włóczęgach powrotem do prawdziwej cywilizacji. Pensjonat niemiecki, kino, kawiarnie i parę Fordów kręcących się po ulicach witaliśmy z entuzjazmem. Już po dwu dniach zbrzydły mi na nowo gęste rosoły niemieckie — uliczki smutne i brudne kawiarnie. Opadła mnie ciężka, męcząca nuda. Chciałem już wracać do Rio, które ze swą zielonością, morzem i przepychem wydawało mi się rajem wobec płaskowzgórza Parany, przygnębiającego swoją jednostajnością. Jedyną rozrywką ostatnich dni w Curitybie była wystawa malarska prof. Pieńkowskiego. Była to bodaj pierwsza prywatna wystawa obra-

TRĘDOWACI

zów w tem mieście prywatnych obraz i plotek. Na uroczystem otwarciu przemawialiśmy kolejno do zebranych. Baliński mówił po francusku. Na sali rozumiał go tylko konsul Miszke i p. konsulowa. Ja natomiast mówiłem do zebranej kolonji po polsku, i rozumiała mnie tylko p. konsulowa i p. Miszke. Obrazy podobały się bardzo, ale myślę, że taki Szwoch czy Słupski miałby większe powodzenie materjalne i moralne od świetnego kolorysty i rzetelnego malarza, jakim jest Pieńkowski.

Na parę dni przed wyjazdem z Parany poznałem niezmiernie ciekawego p. Federowicza. Jest to miernik, żyjący od lat kilkunastu w stanie kawalerskim, w stanie zupełnego opuszczenia i osamotnienia, słowem — w stanie Goyaz, graniczącym z Paraną i Matto Grosso. Pan Federowicz przechodził prócz wielu innych chorób również i dżumę. Mieszka on wśród Indjan plemienia Curujaz. Opowiadał nam godzinami rzeczy wybitnie interesujące, a czasem tak ładne, jak ta mała legenda indyjska:

„Na wielkim liściu palmy burity znalazły się raz trzy krople rosy. W cieniu liści oświecone przedzierającym się przez gąszcz promieniem księżyca, świeciły piękniej niż djamenty. Każda z trzech kropli uważała się za najpiękniejszą, i sprzeczały się ze sobą, która z nich świeci najwspanialej. Przechodził właśnie przez

ST. BALIŃSKI NAD COECHEIRĄ

las bóg indyjski, młody i piękny strzelec Aua. Słysząc spór, postanowił rozsądzić krople rosy.

— Powiedz mi, skąd jesteś? — spytał pierwszej.

— Jestem z morza — odpowiedziała kropla. Powstałam ze słonej fali morskiej, w której odbijało się niebo. Wiatr porwał mnie nocą i rzucił aż tu w gąszcz leśny.

— Ja jestem — rzekła druga — kroplą szczęścia. Jestem łzą, która spłynęła z oczu matki, gdy odnalazła ukochanego syna.

— A ty skąd pochodzisz? — spytał bóg Aua trzeciej kropli, która milczała zawstydzona.

— Ja jestem — odpowiedziała wreszcie — kroplą potu, zwykłą kroplą potu, która spłynęła z czoła pracującego w lesie człowieka.

Bóg Aua wziął ją w swoją piękną ciemną dłoń i pofrunął do góry. — Pójdź, — powiedział — zaprowadzę cię do twoich sióstr — do gwiazd, i umieścił ją na firmamencie nieba".

Nr. 12 „Naokoło Świata"

zawiera:

Leon Chrzanowski: Za wrotami Watykanu (12 ilustracyj). — *Mieczysław Czaplic:* Z listów Giovanny i Mercedes (6 ilustracyj K. Sopoćki). — *Henryk Fukier:* Nullum vinum (7 ilustracyj). — *Szymon Nawrocki:* Pliszki (5 ilustracyj K. Mackiewicza). — Gen. *Bronisław Grąbczewski:* W głębi chanatu bucharskiego (14 ilustracyj). Wesołego Alleluja (ilustr. K. Mackiewicz). Chińska litanja (11 ilustracyj M. Berezowskiej). — *Marja Królowa Rumuńska:* Żołnierz Bazyli (portret B. Szańkowskiego i 6 ilustracyj K. Mackiewicza). — *Margaret Super:* Na rozstajach Pacyfiku (2 kartony i 11 ilustracyj). — Inż. *St. Burzyński:* Byle chyżej! (9 ilustracyj). — *Wł. Z-cki:* Magja miłości (8 ilustracyj). — *Aleksander Junosza-Olszakowski:* Alter ego (9 ilustracyj B Nowakowskiego). — Z teki humorysty (rysował Walentynowicz i Nowakowski). — Inż. *Niedzielski:* Próby inteligencji (2 ilustracje). — Rozrywki umysłowe.

Okładkę trójbarwną wykonał *Rożankowski*

WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFFA

Cena zł. **2.50**

„DROGA"

MIESIĘCZNIK

społeczno-kulturalno-polityczny

№ 3 zamieszcza m. in.:

H. Świtalski: W jakim ustroju żyjemy.
Br. Siwik. O partyjnictwie w ruchu politycznym.
A. Skwarczyński: Antypaństwowe umowy w sprawie Górn. Śląska.
Wadek: Sojusz z Polską, czy pakt przeciw Polsce.
W. D. Jeszcze w sprawie wojska.

Prenumerata 5 zł. kwartalnie.
Numer pojedyńczy 2 zł.

Adres:
Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 175-34

Egzemplarz okazowy na żądanie wysyła się.

Żądać w księgarniach, kioskach i na kolejach

Wyszedł Nr. 2 (lutowy) miesięcznika

MUZYKA

pod redakcją
MATEUSZA GLIŃSKIEGO

Artykuły: *St. Barcewicza* „Garść wspomnień", *A. Chybińskiego* „Mazurki Szymanowskiego", *M. Glińskiego* „Stanisław Barcewicz", *St. Niewiadomskiego* „Stanisław Moniuszko", *F. Szopskiego* „Smutne refleksje", *E. Wo[illegible]* „O muzyce współczesnej" Sprawozdania z kraju (Warszawa, Kraków, Poznań) i zagranicy (Londyn, Barcelona, Moskwa). Nowe wydawnictwa. Przegląd prasy. Kronika. Biuletyny. Impresje muzyczne. Trybu[illegible]na artystów. Rozmaitości.

Ankieta w sprawie Filharmonji Warszawskiej

W dodatku ilustracyjnym: *„Ilustrowana kronika muzyczna"*, nr. 2, *„Karykatury muzyczne"*, nr. 1.

W dodatku nutowym: „Dwie minjatury" *L. M. Rogowskiego.*

Numer zawiera 60 stronic i kosztuje 1.50 zł.

„ISKRY"

TYGODNIK DLA MŁODZIEŻY

nr. 15

Stefanja Kossuthówna: Wielkanoc. — **Zofja Findeisenówna:** W czterechsetną rocznicę hołdu pruskiego. — **Janina Tumińska:** Czwartek. — Jeszcze o warunkach szkolnych za czasów niewoli. — **Tadeusz Radliński:** Sto dni w trzech częściach świata. — Nasze premjum. — **Helena Duninówna:** „Szkopuł szlacheckiey substancyi". — **Antoni Urbański:** Stary zamek nad Drwęcą. — **Jan Szczepkowski:** Wśród wrogów. — **T. C. Bridges:** Napowietrzni żeglarze. — **R. Rudzińska:** Poznaj samego siebie. — **Kazimierz Rosinkiewicz (Rojan):** Złoty sen Lamikai. — Moja kolekcja. — Ciekawe i niecekawe. — Kącik dobrych znajomych. — Nasze listy.

Cena zł. 0.45

Muzyka

Premjera „Don Juana" w Operze warszawskiej.

Dziś, kiedy się słyszy „Don Juana", — zawiły problemat operowy, który do niedawna nurtował wszystkie muzyczne umysły, wydaje się rozwiązany.

Wartości formalne i muzyczne „Don Juana" istnieją absolutnie niezależnie od teatralności i libretta, ale jednocześnie ze zdumiewającą właściwością i ekspresją wypowiadają cały dramat sytuacyjny i psychologiczny.

Niepotrzebne są leitmotivy, ani rafinady instrumentacyjne i harmoniczne: muzyka „Don Juana", sama przez się abstrakcyjna, potrafi najlepiej uplastycznić zawikłania miłosne Juana i jego trzech kochanek.

Treść opery sprowadza się do przeciętnej romansowej awantury, ale fatalistyczny wiew dramatu dyszy w partyturze. Dla muzyki tej obojętne jest, jaka akcja rozgrywa się na scenie, ale skoro rozgrywać się musi ta właśnie, natchniona partytura tłumaczy ją najwłaściwiej.

Sam Mozart zresztą określił swoje uczuciowe stanowisko w liście do ojca z roku 1781: „Ta opera musi się tem bardziej podobać, w której... słowa napisane są tylko dla muzyki, a nie dla gładkiego rymu. Wiersze potrzebne są niezbędnie dla muzyki, ale rymy dla rymów są czemś najszkodliwszem".

Pogląd ten stał w sprzeczności z dążeniami współczesnego mu Glücka, który w przedmowie do Alcesty (1769) powiedział, że „komponując operę, staram się zapomnieć, że jestem muzykiem". Tak, ale Glück potrzebuje koniecznie szerokich gestów aktorskich dla akcentowanej i patetycznej deklamacji właściwych mu recitativów. Tak samo dla późniejszych leitmotivów Wagnera konieczne są akcesorja na scenie, nie mówiąc już o operze werystycznej, która wymaga wprost całego szeregu efektów i sztuczek. Opera Mozarta zwycięża bez dekoracyj i bez kostjumów, a przecież jako wyraz dramatycznej charakterystyki jest zupełnie doskonała.

Genjalna uwertura streszcza dramatyczną treść opery: w przeciwieństwie do innych uwertur, Mozart wprowadza tu tematy opery, zaraz na wstępie prawie wprowadzając fatalistyczny motyw końcowy.

Tyle pisało się już i pisze o wpływach wielorakich na Mozarcie (melodramat francuski, „singspiele" niemieckie, opera włoska), — ale dziś, kiedy istnieje jako definicja: styl Mozartowski, takie stanowisko może interesować tylko z punktu widzenia historycznego.

Wykonanie „Don Juana" było poprawne. Zdanie to nie może oznaczać całkowitego uznania. Poprawność wykonania polegała na sumiennem opracowaniu wszystkich szczegółów, — ale tak, że słuchacz nie mógł ani na chwilę o tem zapomnieć. Operę prowadził Dołżycki: wolelibyśmy więcej skondensowania i skupienia zarówno w miejscach dramatycznych, jak i w momentach „buffo".

Panie: Zboińska-Ruszkowska — Anna, Czapska — Elwira, Polińska-Lewicka — Zerlina, śpiewały z godnym uznania, choć zanadto widocznym, pietyzmem i przejęciem. Głos Polińskiej-Lewickiej brzmi zawsze niezmiennie pięknie i upajająco.

Obsada męska — słabsza. Brzeziński był w roli Don Juana jak zawsze kulturalny i dyskretny. Michałowski, bas-baryton o bardzo ładnym głosie, odśpiewał Leporella bez wdzięku i bez humoru, co stanowi konieczny warunek do wykonania trudnej partji Leporella.

Komandora wykonał Wraga, Oktawja — Dobosz, Masettę — Tokarski, dekoracje — Drabik.

Camera obscura

Zdziarski.

Kilka wyjątków z dzieła Bolesława Zdziarskiego „List otwarty do p. premjera Władysława Grabskiego w sprawie sanacji skarbu polskiego" (Płock, 1925):

...A gdy sejm mu (Grabskiemu) nadał
pełnomocnictwa mocne,
na procenty bankierom sprzedał
majtki nocne.

Jak widzimy prowincja sądzi, że ministrowie noszą nocą specjalne kalesony.

...Panjudaizm jest bardzo niebezpieczny ptaszek,
Podrywa fundamenty Polski, dziurawi
nam daszek.

Cudny obraz: Żydzi siedzą „na daszku" Polski i dziurawią go.

...samolotów, kolei, elektryk nam potrza,
lecz najtańsze zawsze są transporty
wodne
urządzaj rzeki, polskie morze, wodne
statki modne.

„Urządzanie rzek" jest z dość dziwnem hasłem.

...Raz już na odwagę zdobądź się
narodzie,
jak Włosi z Mussolinim złączmy się
w pochodzie,
zróbmy Bank Polski, jak Szwedzi zrobili,
nie będziemy w niemocy my i biedzie
gnili,
naśladujmy Szwedów, co pisze lord
Kitson,
odbudujem Ojczyznę, którą dał Fosch,
Wilson.

Nareszcie oszałamiające odkrycie historyczne: Foch i Wilson dali nam ojczyznę!

O kretynizmie na tle histerycznego patrjotyzmu mógłby jaki psychjatra dzieło napisać.

??!!

Ogłoszenie w nr. 60 „Dziennika Pomorskiego":

„Poszukuję od 1.4 b. r.
familji
z dwoma męskiemi zaciążnikami.
Gostomczy, Chojnice, Władysławek".

Sapiecha.

„Życie Podlasia" (Siedlce) z 15 marca r. b. donosi, że w bibljotece miejskiej ławnik Sapiecha spalił książkę Niemojewskiego „Bóg Jezus". W siedleckiej radzie miejskiej

„jedni oburzyli się na fakt, niesłychany w Europie od paru wieków, drudzy bronili ławnika twierdząc, że w chrześcijańskim kraju niema miejsca dla książek niechrześcijańskich. Powstał podobno projekt kompromisowy: zamknąć niechrześcijańskie książki do osobnej szafy i wydawać je czytelnikom tylko za specjalnem zezwoleniem władz duchownych".

Projekcik niczego. Szafa — owszem. Tylko możeby tak w niej tymczasem Sapiechę na kluczyk zamknąć i za specjalnem zezwoleniem wydawać czytelnikom — poprostu do bicia.

Ligocki.

„Rzeczpospolita" zapowiedziała w nr 21 druk nowej powieści Edwarda Ligockiego p. t. „Powrót Beatryczy". W prospekcie tego dzieła znajdujemy zdania wręcz przedziwne:

„Beatrycze jest to kobieta, która wróciła z Rosji. Czeka na nią miłość, małżeństwo, to wszystko, co jej dać może człowiek, czekający na nią latami. Ale w sercu młodej dziewczyny jest powiew ze wschodu"...

Latami? Powiew? W sercu? Ze wschodu? — Ano, trudno.

„Powrót Beatryczy" jest, wedle określenia Wells'a, powieścią współczesno-historyczną"...

Czytelnicy „Rzeczypospolitej" widzą po przeczytaniu tego zdania olśniewający obraz: stary Wells siedzi zadumany nad powieścią Edwarda Ligockiego i szepce zachwycony: „Oto powieść współczesno-historyczna".

Urocze to ogłoszenie stwierdza przy końcu, że autor przeciwstawia w swem dziele zasiewowi bolszewizmu duchowego „słoneczne rzymskie momenty".

Ci mili prości ludzie podzielili sobie świat na bolszewizm i faszyzm, powiew ze wschodu i powiew z zachodu, rabinów i księży, anarchję i monarchję, Krym i Rzym, Pawła i Gawła, tutti i frutti, lari i fari — i dobrze im jest.

Przesada z tem „oczywiście".

Wychodzący w Łodzi „Express" zamieścił w nr. 17 z dnia 13 stycznia r. b. artykulik, zaczynający się od słów:

„Do panny Alicji Clark, zamieszkałej w domu własnym przy ulicy Churgh w dzielnicy Chelsea w Londynie wezwano pogotowie policyjne".

Tytuł artykułu: „Miljonerka, która umarła z głodu". Podtytuł: „Stało się to oczywiście w Ameryce".

Otóż można napisać, że Londyn jest w Ameryce, ale twierdzić, że „oczywiście" — to już przesada.

Potrzeby słabowitego pana.

Ogłoszenie z „Ilustrowanego Kurjera Codziennego", 23 stycznia r. b.:

„Panna lepszej sfery, lat 30, zajmie się potrzebami u samotnego pana (może być słabowity) — jako towarzyszka lub do pomocy pani domu. Zna się dobrze na kuchni. Łaskawe zgłoszenia pisemne do Admin. Kurjera dla „Dobrze wychowanej".

Potwór z Częstochowy.

Ogłoszenie z nr. 44 „Ilustrowanego Kurjera Codziennego":

„W celu matrymonjalnym szukam bliźniej sobie gwiazdy; gwiazdy nad sto słońc z nieba, co darzyć i napawać może szczęściem niewinnej psychy, do bezdennego kresu. I choć, że jestem bez grzechu z idealnemi i prawemi uczuciami, uczuciami, które z lekką duszą jak przejrzysty obłok biały przy kaskadach rozpromienionego słońcem nieba ciągną, sięgają i mierzą się z jego obliczem — jednak nie jestem tak piękny jak Apollo. Mimo to nie tracę nadziei, szukam płci nadobnej li z bliźnią psychą, którąby raczyła pomóc młodemu i zdolnemu technikowi, który ciągnie do lotu twórczego: dźwigać i rozwijać do zwycięstwa dla rodzimej naszej ziemi wzniosłą w dzisiejszej epoce, gałąź rodjotechniczną. — Lecz tu na ziemi co smutno i ponuro, jeszcze senną zasuwa się chmurą — co bez miłości piękna ani sztuki, żądni wciąż zabawy — tylko nie nauki. Więc duch mój — duch! — znajdzie co szuka? Duch! co nie pośród karłów toczy, lecz buja w podniebnych krainach i karmi się tamtym blaskiem, a tu — na ziemi pokrewną mi gwiazdę znajdzie? Nadsyłać: Częstochowa, skrzynka pocztowa 77. Zgłoszenia anonimowe i treści lekkiej do kosza.

TOW. WYDAWNICZE
WACŁAW CZARSKI I S-KA
w Warszawie, Marszałkowska 113,
POLECA
NASTĘPUJĄCE NOWOŚCI:

BANDROWSKI-KADEN JULJUSZ:
Miasto mojej matki (nowele)
BRONIEWSKI WŁADYSŁAW:
Wiatraki (poezje)
CONRAD-KORZENIOWSKI JOSEPH:
Korsarz (powieść)
LIEBERT JERZY:
Druga ojczyzna (poezje)
SHAW BERNARD:
Święta Joanna (sztuka) z przedmową autora

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH I KIOSKACH KOLEJOWYCH „RUCH"

Bibljoteka „Rhombus"

najtańsze i najlepsze książki francuskie i angielskie

Wielki wybór dzieł francuskich i angielskich klasyków oraz autorów współczesnych

Cena tomu 50 groszy

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Katalogi na żądanie bezpłatnie

J. A. POŻARIK

„Bibliothèque Rhombus"

Warszawa, Długa 45, tel. 61-73

„AMERYKA—POLSKA"

NUMER MARCOWY ZAWIERA:

Artykuł o prezydencie Wojciechowskim i premjerze Władysławie Grabskim. „Piętnaścioro przykazań byznesu nmerykańskiego" traktuje o etyce i zasadach działalności przemysłowo-handlowej. „Amerykańskie badania kwalifikacyj pracowników biurowych" opisuje proste badania psychotechniczne. Artykuł o Gompersie mówi o związkach zawodowych w przeciwstawieniu do walki klas. Ogółem około 20 artykułów, w tem nowelka amerykańska i powieść M. H. Szpyrkówny

ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE

Cena zeszytu zł. 2.50

SCENA POLSKA

Organ Związku Artystów Scen Polskich

Ukazał się obficie ilustrowany zeszyt czwarty i zawiera pracę prof. dr. *Andrzeja Tretiaka* p. t. „Scena Szekspirowska", artykuły oryginalne *Hermona Ould'a* o „Teatrze angielskim w r. 1924", *Horacego Shippa* o „Drogach rozwoju sztuki dekoracyjnej w angielskim teatrze współczesnym", szereg artykułów z kraju i zagranicy (Francja, Niemcy, Austrja, Rosja), bibljografję i systematycznie opracowane materjały za kwartał III r. ub.

Skład główny
w Księgarniach Gebethnera i Wolffa

KSIĄŻNICA NAUKOWA
Przemyśl, Rynek 8—9
wysyła każdemu, kto poda swój adres
BEZPŁATNIE
czasopismo p. t.
„DOBRA KSIĄŻKA"
poświęcone rozpowszechnianiu książki polskiej i informujące czytelników o nowościach wydawniczych

NAJWIĘKSZE I NAJPOCZYTNIEJSZE
::: POLSKIE PISMO SPORTOWE :::
ILUSTROWANY TYGODNIK SPORTOWY

STADJON

CENTRALA
Redakcja i Administracja:
Warszawa, Galerja Luksemburga
Telefon 70-56, 301-77, 282-66.

REDAKCJE OKRĘGOWE:
ŁÓDŹ, Piotrkowska 86, tel. 4-74
KRAKÓW, ul. Dunajewskiego 2
TORUŃ, Bydgoska 48 (St Kince)
LWÓW, Pełczyńska 20 (parter)
KATOWICE, Opolska 4 (3 piętro)
WILNO, Zarzecze nr. 28—6
POZNAŃ, Skarbowa 23.

Korespondenci we wszystkich miastach Rzeczypospolitej oraz zagranicą

RACHUNKI PRZEKAZOWE:
Bank Handlowy w Warszawie
Poczt. Kasa Oszczędn. nr. 7498

Adres telegraficzny:
STADJON—WARSZAWA

Fotograf KAROL PĘCHERSKI

(Nowy Świat 57, tel. 132-91)

Atelier otwarte od 9—18,
w niedziele i święta na zamówienie

WYSZEDŁ JUŻ W ZNACZNIE ZWIĘKSZONEJ OBJĘTOŚCI
miesięcznika ilustrowanego

Nr. 4 Z CAŁEGO ŚWIATA

i zawiera:

JOSEPH CONRAD-KORZENIOWSKI: „Gospoda pod «Dwiema Wiedźmami»" (ilustracje K. Mackiewicza). — IRENA BRIARES: W ojczyźnie Napoleona. — M. JAROSŁAWSKI: Tajemnice amuletów i talizmanów. — E. LIGOCKI: Giovinezza, Giovinezza (ilustr. T. Gronowskiego). — ESTEVI: Twórcy śmiechu na ekranie. — J. G.: Dwa skarbce Polski. — J. B. CZARNOMSKI: Alma Mater Judeorum. — LUDOMIR RÓŻYCKI: Valse lente. — AL. ŚWIDWIŃSKI: Gdybym był bogatym. — Szachy. — Rozrywki umysłowe. — Krzyżówki.

Trójbarwna okładka T. ROŻANKOWSKIEGO

Cena numeru tylko zł. **1.80**

W numerze 133 ilustracyj, 8.500 wierszy tekstu

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH, FILJACH KSIĘGARNI KOLEJOWYCH „RUCH" ORAZ KIOSKACH GAZETOWYCH

WYDAWNICTWO BIBLJOTEKI DZIEŁ WYBOROWYCH WARSZAWA, SIENKIEWICZA 12

MAŁY REMINGTON

trwały, lekki, tani, niezbędny w domu, w biurze, w podróży

Posiada 42 klawisze jak duża wzorowa maszyna

BLOCK-BRUN S. A.
Warszawa
Hotel Bristol

Tom XXVIII
Bibljoteki Dzieł Wyborowych:
IBANEZ
CZTERECH JEŹDŹCÓW APOKALIPSY
Cena w prenumeracie 1 zł. 23 gr. (w oprawie)

Wydawnictwo „Librairie de France"
L'AMOUR DE L'ART
jedyne wielkie wydawnictwo francuskie, informujące czytelników o bieżącym międzynarodowym ruchu artystycznym
VI rok
Redaktor naczelny WALDEMAR GEORGE
Każdy numer zawiera 32 strony i około 60 ilustracyj
12 numerów rocznie, nadto numery specjalnie dostarczane stałym prenumeratorom gratis
Kto zaprenumeruje „L'Amour de l'Art" otrzymuje, oprócz pisma:
1. Piękny autoportret Cézanne'a lub „Filiżankę czekolady", pastel Degasa (do wyboru), heljograwiury formatu 38 × 56
2. Album sztuki afrykańskiej, tekst H. Clouzota i A. Levela, 60 reprodukcyj
3. Szereg numerów specjalnych, bogato ilustrowanych
Prenumeratę „L'Amour de l'Art" przyjmuje administracja „Wiadomości Literackich", Warszawa, Świętokrzyska 30 m. 5, gdzie można przejrzeć zeszyty okazowe
Opłata roczna wynosi fr. franc. 75. — którą należy wpłacać do administracji lub do P. K. O. na konto № 8515 w złotych po kursie dnia wpłaty

CZYTELNIA WSPÓŁCZESNA
Żelazna Brama 2
poleca nowości w wielkim wyborze dla starszych i młodzieży
Zastaw 3 zł., abonament 2 zł.

TEATR
QUI PRO QUO
dziś i codziennie
Program nr. 8
Hallo! Ciotka!
udział całego zespołu

ZYGMUNT POMARAŃSKI i S-KA
Księgarnia nakładowa w Zamościu
oddziały: w Krasnymstawie, Włodzimierzu i w Warszawie, Marszałkowska 52 (tel. 161-31)
poleca NOWOŚĆ:
powieść LUDWIKA BOUSSENARDA
DUSICIELE Z BENGALU
(przygody Europejczyków w pełnych tajemnic Indjach)
Cena 5.— zł.

OSTATNIE NOWOŚCI BELETRYSTYCZNE
Książnicy Naukowej w Przemyślu
Jan Wiktor
„BUREK", powieść
cena zł. 6.—
oraz tegoż autora
„LEGENDY O GRAJKU BOŻYM"
z drzeworytami *R. Gedliczki*
cena zł. 3.50
Do nabycia we wszystkich większych księgarniach

ALMANACH NOWEJ SZTUKI
ukazał się
nr. 2 (4)
i zawiera:
POEZJE:
A. Ważyka, St. K. Gackiego, St. Brucza, A. Wata, B. Iwanowskiego, H. Izdebskiej, A. Sterna
ARTYKUŁY:
N. Beauduina: Nowe prądy poetyckie we Francji (tł. z rękopisu W. Melcer-Rutkowska), *J. Cocteau:* Sekrety zawodowe (tł. A. Wat), *A. Ossendowskiego:* Sztuka w Afryce, *St. Napierskiego:* Uwielbienie faktu, *J. O. N.:* Taniec plastyczny, *B. Iwanowskiego:* W cyrku
oraz
MAXA JACOBA:
BRETANJA Z AUTA
(tł. z rękopisu St. Podhorska-Okołów)
PIERR'A MORHANGE'A:
FRAGMENT (proza)
Przegląd czasopism francuskich przez Cz. Bobrowskiego.—Varia
Reprodukcje:
Juana Grisa, A. B. de Segonzaca, ze sztuki murzyńskiej, z tańców H. Hulanickiej
Cena n-ru poj. 2 zł.
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

INSTYTUT WYDAWNICZY
„BIBLJOTEKA POLSKA S. A."
WARSZAWA, NOWY-ŚWIAT 23/25 TEL. 510-21
SPRZEDAŻ KSIĄŻEK NA RATY

NUMER MARCOWY (39) „SKAMANDRA"

zawiera:

Antoni Słonimski: Ostatnia podróż. List. Menu. Flamengo. Rio. — **Juljan Bronowicz:** Wzywanie trzeciego cudu (z powodu „Przedwiośnia" Żeromskiego). — **I. K. Iłłakowicz:** Psalm nowoczesny. — **Józef Wittlin:** Na oczy (elegja). — **Jerzy Liebert:** Do świętej Katarzyny Genueńskiej. — **Mieczysław Braun:** Ciało. — **Juljan Tuwim:** Hokus-pokus. — **Stanisław Ignacy Witkiewicz:** Warjat i zakonica czyli Niema złego coby na jeszcze gorsze nie wyszło (krótka sztuka w 3 aktach i 4 odsłonach). — **Jalu Kurek:** Pielgrzymi — **Władysław Broniewski:** Kabała. — **Leonard Podhorski-Okołów:** Mechanizm twórczości poetyckiej w świetle budowy przysłów.

Okładka TADEUSZA GRONOWSKIEGO.

Zeszyt pojedyńczy zł. 3.—. Prenumerata z przesyłką w stosunku zł. 8.— kwartalnie. Dla abonentów „Wiadomości Literackich" 25% zniżki.

Redakcja: Złota 8 m. 5. tel. 132-82.

Administracja: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04. Konto czekowe 85-15.

Tydzień bibljograficzny

informacje dostarczane przez księgarnię E. Wende i S-ka

Historja literatury, krytyka estetyczna

Manfred Kridl. Antagonizm wieszczów. Rzecz o stosunku Słowackiego do Mickiewicza. Warszawa, M. Arct, 1925; str. 8nl. i 568.

Stanisław Kolbuszewski. Wizja Wyspiańskiego. Poznań, 1924; str. 32.

Powieść, nowela

Bibljoteka Dzieł Wyborowych. Redaktor **Stanisław Lam. Wincenty Blasco Ibanez.** Czterech jedźców Apokalipsy. Powieść. Z upoważnienia autora przełożyła **Hajota.** Tom I. Warszawa, Księgarnia Bibljoteki Dzieł Wyborowych, (1925); str. 2nl., 172 i 4nl. Zł. 2.20.

Jarosław Iwaszkiewicz. Księżyc wschodzi. Powieść. Okładkę rysował **Tadeusz Gronowski.** Warszawa, Wacław Czarski i S-ka, 1925; str. 292 i 2nl. Zł. 6.—.

Jerzy Ostrowski. Sztandar na maszcie. Powieść. Warszawa, Gebethner i Wolff, (1925); str. 275 i 1nl. Zł. 5.50.

Jerzy Rogaty. Sejmik. Opowieść kresowa z doby obecnej. Warszawa, Perzyński, Niklewicz i S-ka, 1925; str. 63 i 1nl. Zł. 2.50.

Andrzej Strug. Pokolenie Marka Świdy. Powieść. Okładkę rysował **Tadeusz Gronowski.** Warszawa, Wacław Czarski i S-ka, 1925; str. 4nl., 407 i 1nl. Zł. 7.50.

Poezja

Romuald Konopka. Tadzio. Poemat, oraz inne utwory poetyckie. Warszawa, 1925; str. 157 i 3nl. Zł. 3.50.

Stanisław Młodożeniec. Kwadraty. Zamość, nakładem Zamojskiego Koła Miłośników Książki, 1925; str. 30 i 2nl.

Książki dla młodzieży

O Janku wędrowniczku. Opowiedziała swoim dzieciom **Marja Konopnicka.** Warszawa, M. Arct, 1924; str. 40 i 2nl. Zł. 2.50.

Jasiek Samochwał czyli uroczystość śpiewacza u króla Wargali. Bajka ilustrowana. Z duńskiego tłumaczył **P. Laskowski.** Warszawa, „Zdrój", (1924); kart 20 i 1nl.

Korespondencja

Do redaktora „Wiadomości Literackich".

Szanowny Panie Redaktorze!

Proszę uprzejmie o pomieszczenie tych paru słów w pańskiem poczytnem piśmie.

Zwrócił się do mnie niejaki p. Płażewski z propozycją wydawniczą. Sprawę tę uzależniłem od zaliczki, na poczet której wręczony mi przez p. P. czek P. K. O. trzykrotnie okazał się nieważnym z powodu braku pokrycia. Mimo to pozwala sobie na drukowanie w zapowiedziach swej bibljoteczki mego nazwiska wraz z tytułami książek, do których nie ma żadnych praw. Ponieważ nie jest to pierwszy podobny postępek p. Płażewskiego, uważam za swój obowiązek ostrzedz pisarzy warszawskich przed tym panem.

Antoni Słonimski.

4/IV 25.

*

R. H. Słabe.
K. A. Jaw. Adres I. Erenburga: Paris V, 64, Avenue du Maine.
I. Steng. Źródeł nie znamy.
Siedlczaninowi. Dziękujemy.

J. J. w Poznaniu. W każdym razie dziękujemy za pamięć.
Życzliwemu Czytelnikowi. Nie ma Szanowny Pan racji. Podług systemu dziesiętnego Deweya, „nauki społeczne" obejmują również handel. A tu chodzi właśnie o podręcznik handlu.
K. B. w Krakowie. Dziękujemy za pamięć i życzenia.
H. P. we Lwowie. Z artykułu nie skorzystamy.
M. F. Dziękujemy za uzupełnienie artykuliku.
W. S. Nie skorzystamy.
J. Ch. w Ostrowiu. Niestety, jest to niemożliwe dla tysiąca względów.
Xyz. Bez wartości.
R. w Kutnie. Talent.
J. P. Z. w Łodzi. Nie skorzystamy.
M. F. Za wszelkie uwagi rzeczowe jesteśmy wdzięczni. Co do cen książek— nie zawsze są nam one wiadome. W drugiej sprawie — ma Szanowny Pan tylko poniekąd słuszność.
Stałemu Czytelnikowi z Krakowa. Dziękujemy.
Alicja Zet. Nie do druku.
K. R. w Łodzi. Adresu nie znamy.
Studentowi Uniwersytetu Warszawskiego. Dziękujemy.

PRENUMERUJCIE
wydawnictwo powieściowe p. t.
„KSIĄŻKI ZAJMUJĄCE"
dające abonentom każdego tygodnia 1 tom oprawny o objętości zwiększonej od połowy kwietnia do 200 stron druku.

Niezwykle niskie koszta prenumeraty wynoszą:

miesięcznie	zł. 4.60	z przesyłką poleconą o 1 zł. miesięcznie drożej
kwartalnie	„ 13.—	
półrocznie	„ 24.—	
rocznie	„ 46.—	

W „Książkach Zajmujących" wyszły w roku bieżącym:

Poe: Maska czerwonej śmierci
Dostojewskij: Wspomnienia z martwego domu, (4 t.)
Płatkowski: Dziwna przygoda
Doyle: Żółte oblicze
Strobl: Grobowiec na Père-Lachaise
Dumas: Dama kameljowa
Wielopolska: Danina
Czeska-Mączyńska: Demon życia
Stein: Pierścień sobowtóra
Żalicki: Oczy Romy Głąbeckiej

W najbliższych tygodniach ukażą się:

Wiktor: Zwierzenia zatracenca
Wells: Człowiek niewidzialny
Walewska: Jeszka
Dumas: Mistrz Adam
Czeska-Mączyńska: Na rozdrożu
Jokay: Noc tysiączna druga
Twain: Król i osioł
Iwański: Groźny dar

i inne pierwszorzędne utwory znanych autorów polskich i obcych.

Abonenci kwartalni, półroczni i roczni otrzymują bezpłatnie w dodatku bogato ilustrowany miesięcznik o bardzo interesującej i urozmaiconej treści beletrystycznej i popularno naukowej p. t.

„DOM I ŚWIAT"
wydawane przy współudziale wybitnych sił literackich i naukowych

Wymienione czasopismo można abonować także oddzielnie:

Prenumerata kwartalna wynosi zł. 3.— z przesyłką poleconą zł. 4.—
„ półroczna „ „ 5.50 „ „ „ 7.20
„ roczna „ „ 10.— „ „ „ 13.40

Egzemplarz będzie kosztował w pojedyńczej sprzedaży zł. 1.—

Prenumeratę na „Książki Zajmujące" i czasopismo „Dom i Świat" przyjmuje:
KSIĄŻNICA NAUKOWA — PRZEMYŚL, Rynek 8—9

Prenumeratę wpłacać można przekazem pocztowym albo na konto wymienionej firmy w P. K. O. nr. 152 561 za pomocą blankietów, które otrzymać można w każdym urzędzie pocztowym

Uwzględniając koszta przedpłaty na czasopismo „Dom i Świat", kosztuje w prenumeracie rocznej **1 tom oprawny 46 groszy**

GEBETHNER i WOLFF
DZIAŁ WYDAWNICZY
POLECA
NOWOŚCI Z OSTATNICH DNI

Bibljoteka Uniwersytetów Ludowych i Młodzieży Szkolnej:

№ 10.	*Orzeszkowa E.* — Ogniwa, wyd. IV.	0.40
№ 11.	*Orzeszkowa E.* — Panna Antonina, wyd. IV.	0.45
№ 12.	*Orzeszkowa E.* — A. B. C., wyd. V.	0.40
№ 15.	*Sienkiewicz H.* — Bartek zwycięzca. Nowela, wyd. VI.	0.60
№ 20.	*Reymont Wł.* — Tomek Baran, wyd. III.	0.50
№ 21.	*Reymont Wł.* — Pewnego dnia, wyd. II.	0.40
№ 33.	*Sienkiewicz H.* — Na oceanie Atlantyckim. (Listy z podróży), wyd. III.	0.30
№ 43.	*Skarbek Fr.* — Mundur. Jaszczołt, wyd II.	0.25
№ 49.	*Sienkiewicz H.* — Z puszczy Białowieskiej, wyd. III.	0.35
№ 53.	*Sienkiewicz H.* — Za chlebem, wyd. V.	0.80
№ 55.	*Sienkiewicz H.* — Sielanka. Legenda żeglarska, wyd. nowe	0.30
№ 62.	*Sewer (Ignacy Maciejowski)* — Wiosna. Obrazki malowane w słońcu, wyd. II.	0.50
№ 63.	*Sewer.* — Dola, wyd. II.	0.40
№ 74.	*Lenartowicz T.* — Wybór poezyj, wyd. II.	0.50
№ 87.	*Chodźko Ign.* — Boruny, wyd. II.	0.40
№ 88.	*Górski K. M.* — Bibljoman. Nowela, wyd. II.	0.30
№ 120.	*Kubala L.* — Oblężenie Lwowa. W roku 1648, wyd II.	0.30
№ 123.	*Szajnocha K.* — Wnuk Króla Jana III, wyd. II.	0.40
№ 126.	*Szajnocha K.* — Zwycięstwo r. 1675 pode Lwowem, wyd. II.	0.25
№ 173.	*Szekspir W.* — Romeo i Julja. Tragedja w 5 aktach. Przekład J. Paszkowskiego, wyd. nowe	0.70
№ 183.	*Prus B.* — Grzechy dzieciństwa wyd. II.	0.80
№ 194.	*Szujski J.* — Bartosz Głowacki. (Ostatnia nobilitacja). Ustęp z dziejów r. 1794. Z przedmową Henryka Mościckiego, wyd. II.	0.50
	Böhm-Bawerk E. — Kapitał i zysk z kapitału. Dział pierwszy. Historja i krytyka teorji zysku z kapitału. Tłumaczenie z trzeciego wydania niemieckiego. Pod redakcją Władysława Zawadzkiego. Tom II. (Bibljoteka Wyższej Szkoły Handlowej)	6.—
	Bujak Fr. — Studja geograficzno-historyczne	12.—
	Gużewski A. — Treściwy kurs instrumentacji, wyd. II.	5.—
	Jotejko T. — Nowy podręcznik do nauki muzyki w szkołach ogólnokształcących, zawierający ćwiczenia intonacyjne, rytmiczne, dynamiczne, piśmienne i pamięciowe, różne rodzaje dyktanda, wzory z dzieł mistrzów muzycznych do czytania a vista, kanony, duety, tercety, oraz pieśni. Zeszyt III. Tonacje do 3 znaków włącznie i modulacje	2.80
	Kleszczyński Z. — Białe noce. Powieść.	4.50
	Orzeszkowa E. — Pisma Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem A. Drogoszewskiego. Tom V. Anastazja — Bene nati, wyd. II.	5.—
	Przyborowski W. — Bitwa pod Raszynem. Powieść historyczna dla młodzieży. Z 6 rys. K. Gorskiego, wyd. VI, karton	4.50
	Reymont Wł. St. — Pisma. Wydanie zbiorowe zupełne, ze wstępem Ad. Grzymały-Siedleckiego i portretem autora. Tom II—V. „Chłopi", wyd. V.	25.—
	Tom XIII. Rok 1794 II. Nil desperandum. Powieść historyczna, wyd. III.	9.—
	Tom XV. Wampir. Powieść, wyd. III.	5.50
	Rodziewiczówna M. — Lato leśnych ludzi. Powieść. Z ilustr. St. Sawiczewskiego, wyd. II, karton	4.—
	Siedlecki-Grzymała A. — Samosęki. Powieść, wyd. II.	6.—
	Święto pieśni dzieci polskich. I. Opracowała Julja Baranowska-Borowa, wyd. II.	0.60

„UNDERWOOD PORTABLE"
NAJLEPSZA MAŁA MASZYNA DO PISANIA
G. GERLACH
WARSZAWA — OSSOLIŃSKICH 4

Wszystkie książki zrecenzowane, omówione i wymienione w „Wiadomościach Literackich", czy to w dziale sprawozdawczym czy bibljograficznym,
MOŻNA NABYĆ w KSIĘGARNI
F. HOESICKA, Senatorska 22, tel. 10-68

PRENUMERATA z przesyłką 6.50 złp. kwartalnie, zagranicą 2 dol.. — OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości 1 mm. szerokości 1 szpalty 30 groszy za tekstem; 50 groszy w tekście; drobne 5 groszy za słowo. Kolumna posiada 6 szpalt.

REDAKCJA: Złota nr. 8, m. 5, tel. 132-82, poniedziałki, środy i piątki od godz. 16—17. ADMINISTRACJA: Świętokrzyska 30 m. 5, tel. 223-04, codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 9—13. Konto pocztowe nr. 8515.

Zakłady Graficzne B. Wierzbicki i S-ka, Warszawa, Chmielna 61. Tel. 46-73.

Redaktor: MIECZYSŁAW GRYDZEWSKI.
Wydawcy: ANTONI BORMAN i M. GRYDZEWSKI.